

Irena Sosinska



W Łodzi mieszkam dopiero od 1952 roku. Urodziłam się w Wilnie, w 1923 roku i mieszkałam tam do 1945 roku. Tam przeżyłam okupację sowiecką i niemiecką.

Urodziłam się w domu mieszczącym się przy ulicy Filipa, niedaleko Kościoła Świętego Jakuba. W tym Kościele zostałam ochrzczona. Później mieszkaliśmy w różnych miejscach, ale najdłużej chyba przy ulicy Wielkiej -- chyba pod numerem 58. Ten dom też był położony niedaleko Kościoła. To był Kościół Świętego Kazimierza. Mieszkaliśmy w domu Ojców Jezuitów. Tam też mieściła się szkoła powszechna (dzisiaj byśmy ją nazwali podstawową) i gimnazjum prowadzone przez Jezuitów.

Rodzice moi przed I wojną światową i nawet jeszcze w czasie Rewolucji Październikowej mieszkali w Moskwie. Tam w 1917 czy 16 roku urodził się mój brat. W 1920 roku całą trójką powrócili do Polski i zamieszkali w Wilnie. W trzy lata po ich powrocie czyli w 1923 urodziłam się ja. Rodzice moi zaliczali się do zamożnych ludzi. Ojciec mój - Wiktor CHARYTONOWICZ posiadał przy głównej ulicy Wilna - Mickiewicza, sklep a w domu gdzie mieszkaliśmy mieściła się hurtownia, która też należała do mego ojca. Mieliśmy ładne mieszkanie i praktycznie niczego nam nie brakowało. Gdy miałam siedem lat rozpoczęłam naukę w szkole prowadzonej przez Siostry Nazaretanki-chyba przy ulicy Piaskowej. W tym czasie mój brat chodził już do gimnazjum prowadzonego przez Ojców Jezuitów.

W 1939 roku, gdy wybuchła wojna miałam 16 lat. Mój brat starszy ode mnie o 6 czy 7 lat został powołany do wojska, a właściwie zgłosił się jako ochotnik jeszcze przed ogłoszeniem mobilizacji. Od tego momentu nie mieliśmy już od niego żadnej

rozprawa sądowa. Skazanie na mocy paragrafu 58.1a.11 o zdradę Ojczyzny na 6 lat. Pobyt w łagrze koło Kłajpedy i w Derewnikach na Uralu. Kłopoty ze znalezieniem miejsca zamieszkania i pracy po wyjściu z łagru po odbyciu całej kary. Przyjazd do Polski w lipcu 1952 roku.

Objętość relacji: 54 strony

Istniejąca ikonografia: 1. Paszport radziecki na nazwisko Irena Charytonowicz

2. Książeczka pracy na nazwisko Irena Charytonowicz

3. Zaświadczenie wydane przez Wydział Konsularny Ambasady PRL w Moskwie o tym, że Irena Charytonowicz w okresie od 26 lutego 1945 roku do 3 grudnia 1950 roku przebywała w miejscach pozbawienia wolności, gdzie była wykorzystywana do wykonywania różnych prac

Kontakt z respondentem: 90-058 Łódź ul. Sienkiewicza 52
tel. 36-45-81

Wykaz ważnych dla danej relacji miejscowości:

1. Wilno - miejsce urodzenia w 1923 i zamieszkania do 1945 r.
2. Wilkiszki
3. Turgiele praca w konspiracji w latach 1942 - 1945
4. Wilno
5. Nowa Wilejska - pobyt w areszcie w 1945 r.
6. Wilno - pobyt w więzieniach w 1945 r.
7. Szykutie - pobyt w latach 1945 - 1946
8. Derewniki na Uralu - pobyt w łagrze od końca 1946 do grudnia 1950 r.
9. Lipowiec na Ukrainie - miejsce zamieszkania od grudnia do marca 1951 r.
10. Biała Waga - miejsce zamieszkania i pracy do lipca 1952 r.

wiadomości. Najprawdopodobniej został wzięty do niewoli pod Lwowem. Otoczyli ich tam Rosjanie i wzięli do niewoli. To było już po 17 września 39 roku i Rosjanie zaczęli zajmować nasze wschodnie ziemie. Zwykli, prości żołnierze mogli zostać zwolnieni do domu. Mój brat był podoficerem i nie chciał skorzystać z okazji, zerwać swe oficerskie oznaki i wyjść z szeregowymi. Dostał się do niewoli, do Starobielska. Dopiero w 1950 czy 51 roku, już po wojnie, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża dowiedzieliśmy się, że TADEUSZ CHARYTONOWICZ - mój brat, zginął w Katyniu. Mieliśmy oficjalny dokument z Czerwonego Krzyża potwierdzający ten fakt, ale niestety został on zniszczony, żeby wiadomość ta nie dotarła do mego ojca. Był on ciężko chory na serce, po trzech zawałach i taka wiadomość mogłaby być dla niego śmiertelna. Chcieliśmy żeby do końca swych dni mógł się ludzi nadzieją, że syn jego może gdzieś tam żyje, może powróci do domu. Imię i nazwisko mego brata - Tadeusz Charytonowicz jest wymienione na liście zamordowanych w Katyniu.

W momencie wybuchu wojny miałam niespełna 16 lat i zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z tego co to jest wojna, ile niesie ze sobą nieszczęścia. Traktowałam to jako przygodę. Kończyło się lato i razem z matką przybywałyśmy na letnisku pod Wilnem, w miejscowości, która się nazywała Witki. Pogoda była piękna. My - młodzi bawiliśmy się, byliśmy weseli, radośni. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że wojna zabierze mi brata i spowoduje takie zmiany w moim życiu.

Do domu, do Wilna z tego letniska dotarłyśmy z mamą z wielką trudnością. Do pociągu trudno się było dopchać takie były przepełnione. Jakoś udało nam się pokonać te 100 kilometrów trochę pociągiem i trochę piechotą. Nareszcie w domu, w którym oczywiście nie było nic do jedzenia. Nie mieliśmy żadnych za-

pasów, nawet cukru, no może było trochę soli. Dla mnie niepojętą rzeczą było, że w sklepie nie można było nic kupić. Przecież jeszcze tak niedawno w najmniejszym nawet sklepiku można było wszystko dostać. Były pomarańcze, rodzynki, daktyle, migdały - no naprawdę było wszystko o czym tylko człowiek zamarzył. Od tych najbardziej luksusowych produktów do tych pierwszej potrzeby. Nie wyobrażałam sobie, że czegoś może zabraknąć. Najtrudniejsze były pierwsze dni, kiedy po prostu głodowałyśmy. Później było już lepiej, zaczął nam pomagać mój ojciec, który nie mieszkał razem ze mną i matką, bo rodzice od 37 roku byli w separacji. Powoli zaczęłam się oswajać z tą nową sytuacją.

Rosjanie do Wilna wkroczyli 17 września 1939 roku. Strach padł na całe miasto. Moja matka dobrze pamiętała czasy rewolucji i wiedziała jacy potrafią być straszni i okrutni, pozbawieni jakiegokolwiek moralności i zdolni do wszystkiego. Jak oni wchodzili do Wilna we wrześniu 39 to witały ich jedynie puste ulice. Większość ludzi zaryglowała się w domach i ukradkiem przez okna popatrywała na to co się dzieje. Wszystkich ogarnęło przerażenie. Zadawaliśmy sobie pytanie co teraz z nami będzie?

Wojsko, które weszło do Wilna już swoim wyglądem budziło obrzydzenie. Byli brudni, obdarci i niechlujni. Nie mieli żadnych dystynkcji więc nie można było odróżnić szeregowca od oficera. I te żołnierki. To takie kobiety, które im towarzyszyły. Okropnie ordynarne.

Zapamiętałam z tego kresu takie zdarzenie. Mieszkaliśmy wtedy na parterze i któregoś razu przyszedł do nas jeden z nich. Był żołnierzem. Był obdarty, zarośnięty, brudny, śmierdząco od niego na odległość. Prosił nas o kawałek chleba. I moja matka niepomna na to co od nich ucierpiała za czasów Rewolucji dała mu ten kawałek chleba. Zrobiło jej się żal tego młodego

człowieka, który wkraczał do Wilna jako zdobywca, a jednocześnie żebrał o kromkę chleba. Tylko raz miałyśmy do czynienia z takim przypadkiem. Oni nie nawiązywali z nami kontaktów, bali się a może im nie pozwalali. Nie wiem. Można więc sobie wyobrazić jak musiał być głodny ten żołnierz, że odważył się do nas przyjść.

Po wkroczeniu Rosjan ja jeszcze przez rok chodziłam do szkoły do Sióstr Nazaretanek. Potem ta szkoła została zlikwidowana przez Rosjan, bo prowadziły ją Siostry Nazaretanki. Wracając do życia pod sowiecką okupacją to nie było ono łatwe. Jak już wspominałam udało mi się ukończyć jedną klasę gimnazjalną przed zamknięciem szkoły. Matka, aby zapewnić nam jakieś takie utrzymanie musiała po prostu handlować. Sprzedawała swoje sukienki, a miała ich dość dużo i to bardzo ładnych, za kawałek słoniny czy bochenek chleba. Tak żyła w owym czasie większość Polaków. Sklep mego ojca, ten który mieścił się przy ulicy Mickiewicza został znacjonalizowany. Ojciec z właściciela stał się jego kierownikiem bez żadnych praw dysponowania swoją własnością.

Wilno zostało zajęte przez Rosjan, ale już 28 października przekazane zostało przez władze sowieckie Litwinom. Chociaż na dobrą sprawę było to takiej pro forma postawienie sprawy, bo w zasadzie rządzili Rosjanie. Litwini wysługiwali się Rosjanom. Zresztą wrogi stosunek Litwinów do Polaków nie zaczął się wtedy. To już się nasilało od 38 roku chyba. Nie pamiętam dobrze. Zaczęli wysiedlać Polaków z Litwy. Dotknęło to moją ciotkę, która miała duży majątek na Litwie. Zabrali jej ten majątek, a ją samą z najbliższą rodziną wywieziono do Kazachstanu, gdzie przebywała do końca 45 roku. Ona przeżyła, ale wujek zginął tam.

Nie pamiętam czy w tym czasie zmieniono nam obywatelstwo, a nie chciałabym coś przekręcić. Wiem, że w tym czasie Litwini

zmienili brzmienie naszych nazwisk na litewskie. W dokumentach też. Nazwisko mego ojca brzmiało więc CHARYTONOWICIUS, ja nazywałam się CHARYTONOWICIUTE a moja matka CHARYTONOWICIENIE.

Niemcy zajęli Wilno w 41 i muszę szczerze powiedzieć, że na początku to nawet odetchnęliśmy z ulgą. Niemcy w przeciwieństwie do sowietów byli czyści, schludni, na pewno bardziej kulturalni. Tak nam się wtedy wydawało. Nie czuło się nawet wielkiej wrogości. I życie codzienne się uregulowało. Niemcy wprowadzili kartki. W sklepach można już było więcej dostać. Zapanował jakiś taki porządek i ład. Rzecz jasna Litwini z miejsca zaczęli się wysługiwać Niemcom. Żebyśmy za długo nie tkwili w przekonaniu, że teraz nam będzie lepiej, Niemcy urządzili nam pokazową lekcję kto tutaj jest panem i kto rządzi. To było tuż po wkroczeniu Niemców do Wilna. Został zastrzelony jakiś Niemiec czy Litwin? Nie to był chyba litewski policjant. I oni za tego zabitego wzięli 100 zakładników spośród najbardziej znanych i zasłużonych ludzi w mieście. Byli tam lekarze, profesorowie. 10 z nich zostało rozstrzelanych.

Przestaliśmy się bać wywózki w głąb Rosji, młodym za to zaczęła zagrażać wywózka na roboty do Niemiec. Mnie też to groziło, bo miałam już skończone 18 lat. Rodzice postanowili mnie wysłać z miasta do dworu w WILKISZKACH niedaleko TURGIEL. Tamtejszy majątek prowadził nasz znajomy, który pomógł mi ustrzec się przed wywózką do Niemiec. W dworze tym udzielono schronienia nie tylko mnie. Czuliśmy się tam wszyscy jak w jednej rodzinie. W Turgielach i okolicy działała silnie rozwinięta partyzantka wileńska AK. Tam też po raz pierwszy, jeszcze nie zupełnie świadomie, zetknęłam się z pracą konspiracyjną.

Tą ścisłą pracą konspiracyjną zajmowali się między innymi księża z kościoła parafialnego w Turgielach. Zapamiętałam trzy

nazwiska: ks. Józefa OBREŃBSKIEGO, ks. Władysława KURPISA i ks. prałata ŻEBROWSKIEGO. Ja jeździłam czasami do Wilna, do matki i któregoś razu poproszono mnie o zawiezenie przesyłki do miasta i dostarczenie jej pod wskazany adres. Z czasem robiłam to coraz częściej, chociaż wtedy jeszcze tak dobrze sobie nie zdawałam sprawy z tego co robie i dla kogo. Nawet nie wiedziałam, że współpracuję z Armią Krajową. Na razie nie złożyłam żadnej przysięgi, ot od czasu do czasu korzystano ze mnie jako z łączniczki. Cały czas byłam w kontakcie z tymi księżmi i od nich otrzymywałam polecenia. Wozilałam listy, paczki. Przywoziłam z Wilna paczki, w których jak się domyślałam były lekarstwa, środki opatrunkowe. Bardzo często zmieniały się adresy skrzynek kontaktowych. Robiono tak ze względów bezpieczeństwa, żeby w razie wpadki jak najmniej zdradzić. Muszę przyznać, że wszystko było zawsze świetnie zorganizowane. Przysięgę złożyłam dość późno, bo chyba gdzieś w 1944 roku. Złożyłam ją na ręce pana Józefa, jak go określałam, bo nie znałam jego nazwiska, w obecności kobiety, która na imię miała Murka.

W końcu 42 roku, a może na początku 43 wróciłam z Wilkiszek do Wilna. Bardzo chciałam się uczyć, zdać maturę, a tam w Wilkiskach nie mogłam tego zrobić. Klasę 8 udało mi się jeszcze skończyć za czasów sowieckiej okupacji Wilna w 40 roku w Gimnazjum Zygmunta Augusta, teraz mogłam kontynuować naukę na tajnych kompletach, na których nauczali nauczyciele z tego gimnazjum. Janina JEŚMANOWA uczyła polskiego; p. ZALEWSKA historii; p. MATULEWICZ matematyki; fizyki i chemii p. DMOCHOWSKI; p. TRZEBIŃSKI przyrody a francuskiego p. ZOBZYŃSKA. Wtedy miałam ja jak i moje koleżanki i koledzy z kompletów bardzo wiele zapału i chęci do nauki. Maturę zdawałam w końcu 44 roku.

Rzecz jasna różniła się od tej zdawanej dzisiaj. Nie było dużej sali, podniosłego nastroju. Nie było też dużej komisji, po prostu dwóch nauczycieli, którzy przyjmowali od nas egzaminy. Egzaminy dość długo się ciągnęły i na początku szło mi bardzo dobrze. Do zdania zostały mi jeszcze dwa egzaminy: z francuskiego i z propedeutyki filozofii. Miałam je zdawać w lutym 45 roku, ale przeszkodziło mi w tym aresztowanie.

W lipcu 44 roku do Wilna weszli Rosjanie, z tym że miasto spod Niemców uwolnili polscy partyzanci. Wielu z nich zginęło. Wtedy poległ mój kolega Mieczysław ANDRUSZKIEWICZ. Następnego dnia w prasie napisano, że to litewska partyzantka pomogła zdobyć Rosjanom Wilno. To jest nieprawda. Tam w partyzantce nie było żadnego Litwina.

Później sowieci zrobili jeszcze jedną straszną rzecz. Otóż wszystkim partyzantom kazali się zgłosić z bronią na punkt zbórny w MIEDNIKACH. Tam ich wszystkich otoczono, rozbrojono a potem wywieziono do KAŁUGI. Dzięki Bogu nie wszyscy usłuchali tego polecenia, żeby się zgłosić do MIEDNIK. Od tej pory musieli się oni ukrywać. Kryli się po lasach, po okolicznych wsiach. Sowietci z miejsca ich określili mianem bandytów i ścigali jak tylko mogli. A przecież to nie byli żadni bandyci tylko prawdziwi Polacy, którzy walczyli o Polskę. Nie wszyscy chcieli udzielać schronienia partyzantom, bo groziło im za to wywiezienie na Syberię, na daleką Północ. Do zadań organizacji w tym czasie, i to głównych, należała wszelka możliwa pomoc tym ukrywającym się. W 45 roku a może jeszcze w 44, zaczęto wydawać pozwolenia Polakom na ewakuację z Wilna do Polski. Akcję tę prowadził Związek Patriotów Polskich. Właściwie nikogo nie namawiano do ewakuacji, wręcz przeciwnie mówiono, żeby zostać i przyjąć obywatelstwo rosyjskie. Moja rodzina, która była i czuła się Polaka-

mi rzecz jasna postanowiła się ewakuować do Polski.

Odbiegłam trochę od sprawy pomocy ukrywającym się. Postanowiono wykorzystać fakt możliwości ewakuacji do Polski. Zaczęliśmy wyrabiać dla tych ludzi potrzebne im dokumenty. Trzeba przyznać, że nie były to dokumenty trudne do podrobienia. Ot, kartka z imieniem, nazwiskiem, zdjęciem i karta ewakuacyjna. Moja rola polegała na tym, że dostarczałam w umówione miejsca fotografie ukrywających się, puste blankiety zaświadczeń, odbierałam zaś już gotowe dokumenty i dostarczałam na punkty przerzutowe.

W tym czasie pracowałam w Urzędzie Gospłanu i wykonywałam różne prace biurowe. Któregoś dnia kierownik pozwolił mi wyjść wcześniej z pracy i pozakłatwiać swoje prywatne sprawy. A spraw do załatwienia tego dnia miałam dość dużo. Najpierw poszłam na lekcję francuskiego, bo już za parę dni miałam zdawać maturę z tego języka. Po lekcji miałam iść na punkt kontaktowy i oddać zdjęcia. Żadnych tego typu rzeczy nie nosiłam nigdy w torebce. Tym razem, a był to mroźny dzień, było dużo śniegu, miałam je ukryte w mufce, w specjalnej kieszonce. Oprócz 5 czy 6 zdjęć znajdowało się tam kilka już gotowych dokumentów, podpisanych, opieczętowanych, gotowych do użycia. Idąc już z lekcji pomyślałam, że wejdę jeszcze na chwilę do pracy i dowiem się czy czegoś ode mnie nie potrzebują. W pewnej chwili podszedł do mnie mężczyzna, tak gdzieś w wieku 35-40 lat, przywitał się i zapytał: "Dokąd Pani idzie?" Zaskoczona tym pytaniem odparłam mu: "Co to pana obchodzi dokąd ja idę!" On na to: "Idę za Panią już od dłuższego czasu, chciałem Panią poznać..." Jakoś tak od razu wyczułam, że tu nie chodzi o żadne poznanie. Zaczął mnie wypytывать dlaczego nie jestem w pracy, co robię o tej porze w tej okolicy. Po tych pytaniach to już byłam pewna, że to po

prostu tajniak. Coś tam jeszcze do mnie mówił a ja wszystkiemu zaprzeczałam gorączkowo myśląc o tym jak się pozbyć tych rzeczy, które miałam w mufce. Wpadłam na pomysł żeby wszystko podrzeć na drobne kawałki i niepostrzeżenie je wyrzucić. Idę więc z tym tajniakiem, niby go słucham, odpowiadam na pytania a przez cały czas rwę dokumenty na strzępy i wyrzucam w śnieg, który sięgał prawie po kostki. Szczęśliwie udało mi się wszystko zniszczyć i już o wiele spokojniejsza dalej idę z tym typem. W pewnej chwili on mi mówi, że tak właściwie to on ma polecenie mnie zatrzymać, podnosi klapę i pokazuje znaczek, pokazuje mi też legitymację. Rozmowa staje się mniej przyjemna. Mówi, że musimy iść do NKGB. Zatrzymuje jadący za nami łazik z funkcjonariuszami i każe wsiadać do środka, bo jedziemy do NOWEJ WILEJKI pod Wilnem, a to dość daleko. Ja cały czas udaję, że nie wiem o co chodzi, głośno protestuję, ale na niewiele się to zdaje.

Zawieźli mnie do Nowej Wilejki. Wprowadzili mnie do prywatnego, jednorodzinnego domu obstawionego żołnierzami czy milicją - już tego nie pamiętam. Wprowadzili mnie do kuchni, gdzie już były inne dziewczyny. Chłopcy siedzieli w piwnicy. Jak tylko weszłam do tej kuchni poznałam jedną z moich koleżanek. Ona z miejsca do mnie: "Irena: ty mów wszystko co wiesz, bo oni i tak wszystko wiedzą". Nogi się pode mną ugięły i mówię do niej: "CO ja mam mówić, co oni wiedzą? Ja nie mam nic do powiedzenia!"

Ta dziewczyna miała na imię Basia (nazwisko też pamiętam, ale ona już nie żyje, niech więc jej nazwisko też pozostanie nieznane). Poznałam ją jeszcze w czasie swojego pobytu w powiecie turgielskim. Odwiedzałyśmy się i nawet zaprzyjaźniłyśmy. Nie wiedziałam, że jest w konspiracji, aż któregoś dnia przypadkowo spotkałyśmy się w jednej ze skrzynek kontaktowych. Wtedy wszystko stało się jasne. Teraz w tej Nowej Wilejce jak ją zobaczy-

łam i usłyszałam to prawie byłam pewna, że to ona mnie wsypała. Choć może i nie ona. Jakoś nigdy nie porozmawiałam z nią o tym. Muszę się pochwalić, że ja nikogo nie wydałam, nie podałam żadnego adresu, z mojej przyczyny nikt nie został aresztowany.

Nie siedziałam razem ze wszystkimi. Oddzielono mnie od nich i posadzono w korytarzu. Nie dali mi jeść przez jeden, drugi dzień. Zaczęłam strasznie rozpaczać, płakać. Zamartwiałam się o matkę: "Co też ona tam biedna sobie myśli". Przecież ja zostałam wzięta z ulicy tak jak stałam. Rano wyszłam do pracy normalnie jak każdego dnia i więcej nie wróciłam. Cały czas łudziłam się nadzieją, że przecież zaraz muszą mnie wypuścić, bo przecież nic złego nie zrobiłam, nic przy mnie nie znaleziono, ale to były próżne nadzieje. W Nowej Wilejce przebywałam dwa tygodnie. Na początku o nic mnie nie pytali. Później były stereotypowe pytania: imię, nazwisko, data urodzenia, od kiedy pracuję w konspiracji? Ja cały czas odpowiadałam, że nie pracuję w żadnej konspiracji, nikogo nie znam, że ja tylko uczyłam się na tajnych kompletach. Do tych tajnych kompletów mogłam się przyznać, bo Rosjanie nikogo nie prześladowali za to.

Moja mama oficjalnie nic nie wiedziała o mojej pracy w konspiracji, ale przeczuwała to na pewno. Na pewno się domyślała. Tak samo przeczuwał mój ojciec. Na wszelki wypadek dał mi dwie złote obrączki. Jedną stale nosiłam przy sobie i w chwili aresztowania została ona skonfiskowana. Mogłam przy jej pomocy próbować przekupić kogoś z funkcjonariuszy, ale bałam się tego uczynić, bo byłoby to równoznaczne z moim przyznaniem się. No więc siedziałam tam dwa tygodnie i przez cały czas do niczego się nie przyznawałam. Myślałam sobie, że przecież nic mi nie mogą zrobić, bo nie mają przeciwko mnie żadnych dowodów.

Jeszcze przed upływem tych dwóch tygodni udało mi się namó-

wiód jednego ze strażników, żeby wrzucił do skrzynki kartkę do mojej matki, żeby przynajmniej wiedziała, że żyję i gdzie jestem. Ta kartka dotarła do mojej matki. Któregoś dnia dotarła do mnie wiadomość, że przyszła moja matka i przyciągnęła na sa-
neczkach paczkę dla mnie. Ot, jakieś drobiazgi - zmianę bielizny, trochę jedzenia, a trzeba wiedzieć, że przez ten cały czas byłam ciągle w tym samym ubraniu i bieliźnie w jakiej mnie zatrzymano. Nawet umyć tam nie bardzo było się gdzie. Matkę udało mi się zobaczyć tylko z daleka przez okno, bo na bezpośrednie widzenie nie zezwolono.

Jeszcze tego samego dnia wszystkich nas wywieziono z Nowej Wilejki. Tym razem już do regularnego więzienia na ulicy Ofiarnej w Wilnie. Przed wojną mieścił się tam Sąd Grodzki, a w czasie okupacji Gestapo. Na górze był Sąd, a pod ziemią mieściły się cele. Było to coś okropnego co trudno sobie wyobrazić. Cele niskie, ponure, bardzo słabo oświetlone. Panowała tam okropna wilgoć, wszy, pluskwy i inne robactwo. W Nowej Wilejce na transport do więzienia w Wilnie zebrała się spora grupa osób. Co i rusz doprowadzali kogoś z okolicznych domów. Widocznie tam też trzymali ludzi. Na Ofiarną zostaliśmy doprowadzeni pod konwojem jak wielcy złoczyńcy. Samo wprowadzenie do więzienia odczułam jako coś potwornego. Te otwierające się i zaraz zamykające się żelazne drzwi i kraty to było coś strasznego. Do tego wszystkiego ciągle się schodziło w dół, do podziemi, co sprawiało wrażenie jakby się schodziło do hadesu. Pobrali ode mnie odciski palców i odtąd byłam już traktowana jako aresztowana, bo do tej chwili to niby byłam tylko zatrzymana. Przesłuchania odbywały się tylko nocami co mnie strasznie wyczerpywało. To był koszmar. Ja tam prawie wcale nie spałam. W nocy nie można było spać, bo w każdej chwili można było być wezwanym na przesłuchanie, a w dzień nie wolno było nawet się położyć. Można było tylko siedzieć

Prawie bez przerwy byłam pod obserwacją strażników i co i raz któryś z nich zaglądał do celi przez "wilczka", aby sprawdzić co porabiam.

Co prawda nic mi nie udowodniono, ale byłam wzywana na tzw. "oczne stawki" czyli konfrontacje. Osoby stojące po drugiej stronie, w tym i ta Basia, o której poprzednio wspominałam, potwierdzały moją tożsamość, mówiły, że widziały mnie tam i tam. To wystarczyło im za dowód w mojej sprawie. Tam zostały założone moje akta i oskarżono mnie o zdradę ojczyzny, paragraf 58.1a.11. Na Ofiarnej przebywałam przez kilka dni, a później zostałam przeniesiona do więzienia na Łukiszkach. Tam przebywałam do czasu rozprawy przed sądem. Aresztowali mnie w lutym 1945 roku, a rozprawa była na jesieni, chyba to był wrzesień lub październik, bo w grudniu 45 zostałam wywieziona na Wschód.

Rozprawa toczyła się przed dawnym Sądem Grodzkim na Ofiarnej. Ten Sąd to był tam przed wojną, później tam mieściło się Gестапо, a jeszcze później urzędowało tam NKGB. Doprowadzeni zostaliśmy tam nawet w dobrych humorach. Razem ze mną w tej samej sprawie sądzonych było 6 czy 7 osób. Oczywiście przez myśl nawet nam nie przechodziło, że możemy zostać skazani. No, jak to tak może być, przecież wojna się skończyła, jest Polska. Pamiętam 9 maja 45 roku. To było w więzieniu na Łukiszkach. Tego dnia, aż cały gmach się trząsł z radości, że nareszcie koniec wojny, że teraz to już na pewno zwolnią wszystkich więźniów politycznych, bo nie ma żadnych powodów, żeby nas dalej trzymać. Jest przecież Polska, a my jesteśmy wszak Polakami, to ojczyzna zapewne się o nas upomni, nie zapomni o nas. Jakże się wtedy myliliśmy! Jak nic nie wiedzieliśmy o tej Polsce, która się odrodziła po wojnie!

Wracając do rozprawy, to przed nami siedziało takich czterech

wojskowych. Jakiś tam pułkownik, major i nie pamiętam kto jeszcze. Wszyscy obwieszani medalami. No i o co oni nas oskarżają? Otóż o zdradę ojczyzny! Mówię im, że jestem Polką, że nie zdradziłam swojej ojczyzny. O co wy mnie oskarżacie! Wasza ojczyzna nie jest moją ojczyzną. Moją ojczyzną jest Polska! Oni na to odpowiadali, że my jesteśmy obywatelami radzieckimi, bo mieszkamy na terytorium, które należy do Związku Radzieckiego i zdradziliśmy ojczyznę czyli Związek Radziecki. Co za koszmar. Myśmy cały czas się upierali przy zdaniu, że oni nie mają prawa nas sądzić, że jeżeli uważają, że coś zawiniliśmy to niech nas przewiożą do Polski i nich nas sędzi polski sąd. Po odczytaniu wyroku, w ostatnim słowie powiedziałam: "TO śmieszne, że jestem sądzona o zdradę ojczyzny. Związek Radziecki nigdy nie był, nie jest i nie będzie moją ojczyzną! Jak można mnie sądzić za coś czego nie uczyniłam! To przecież tak jakby sądzić męża, że zdradził cudzą żonę".

Zapomniałam jeszcze dodać, że rodzice moi wynajęli mi adwokata za grube pieniądze, żeby tylko mnie wybronił. Ojciec musiał nielicho sypnąć złotem. Tylko ja miałam adwokata. I on zaczął mówić przed tym sądem, że ja wielu rzeczy byłam nieświadoma, że nie rozumiałam czego ode mnie wymagano, żeby wzięto pod uwagę mój młody wiek i dalej tym podobne rzeczy. W pewnej chwili ostro przerwałam ten jego wywód, że wręcz przeciwnie, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego co robię, że jestem Polką i zawsze ilekroć zajdzie tego potrzeba będę służyć swojej ojczyźnie - Polsce.

Odczytano nam wyrok. Ja zostałam skazana na 6 lat i 5 lat pozbawienia praw, Baśka dostała 8 lat, dwaj partyzanci na 10 lat, a jedna osoba - to była młoda dziewczyna ze wsi, u której się ukrywali partyzanci została uniewinniona. Zareagowaliśmy

na te wyroki śmiechem. Śmialiśmy się im prosto w oczy, kpiliśmy sobie z nich. Nie bardzo wierzyliśmy w te wyroki i w to, że jeszcze tyle lat więzienia nas czeka. Liczyliśmy, że posiedzimy miesiąc, no może dwa i wrócimy do Polski. Salę rozpraw opuszczaliśmy z takim nastawieniem. Znowu przewieziono nas do więzienia na Łukiszkach. Z tego dnia zapamiętałam jeszcze, że po skończonej rozprawie dostaliśmy dobry obiad, powiedziałabym nawet że wspaniały w porównaniu z tym czym nas karmili w więzieniu. Na obiad był rosół z makaronem. Po wielu miesiącach jadłam coś co się nadawało do jedzenia.

W tamtejszym więzieniu było strasznie. Ja należałam do takich trochę rozpieszczonych dziewcząt, co to praktycznie nie nie umie ją robić, nawet chustki do nosa uprać. Wychowana w dobrobycie i tu raptem znajduję się w takich warunkach, na samym dnie. Okropnie to wszystko przeżywałam.

Umieszczono nas po dwadzieścia osób w celach jednoosobowych. Szerokość takiej celi wynosiła tak gdzieś 1,60. Mogę się domyślać, że takie były wymiary, bo jak się położyłam i wyprostowałam to głową dotykałam jednej ściany, a nogami - stopami drugiej. Długość celi wynosiła jakieś 4 metry. U góry było małe okienko okratowane i przysłonięte żelazną zaskoną... Tyle nas upchnięto w celi, która była przewidziana dla jednej osoby. W dzień jako tako można było usiąść, ale w nocy położyć się i przespać, oczywiście na podłodze, było prawie niemożliwością. Prawdziwy koszmar. Do tego wszystkiego łączyły po nas wszy, pluskwy i inne robactwo. W kącie stał zupełnie odkryty kubeł, do którego trzeba było się publicznie, bo nie był niczym osłonięty, załatwiać. Było to dla mnie strasznie krępujące. Umyć też się nie można było, bo nie było wody...

Dzień się rozpoczynał od tego, że w blaszankach, takich po

konserwach, przynoszono trochę ciepłej wody. Te puszki były zardzewiałe i nigdy nie myte. Dawali z pół takiej blaszanki czyli niecały litr. Wody tej miało starczyć dla 3 czy 4 osób. Trochę myliśmy się w tej wodzie i jeszcze starczało po łyku, żeby się napić. Na śniadanie do tej wody dawali jeszcze kawałek chleba, tak gdzieś ze 20 dkg. Tego chleba musiało nam starczyć na cały dzień. W ciągu dnia dawali nam jeszcze zupę, jeśli to można nazwać zupą. Było to okropne, ohydne. Niby to była grochówka. Była to czarna woda, w której pływały 2-3 groszki. Inne zupy były podobne. Zapomniałam jeszcze dodać, że jedzenie podawano nam w blaszankach albo spluwaczkach. Ja absolutnie nie mogłam tego przekonać. Zjadałam tylko ten kawałek czarnego, gliniastego chleba a i to też nie zawsze. Przez prawie dwa tygodnie nic nie jadłam. Tak strasznie schudłam i osłabłam, że nie mogłam stać o własnych siłach. Już nawet przeznaczili mnie do szpitala... Uratowała mnie wtedy jedna z koleżanek z celi. Akurat dostała paczkę i mimo, że na ogół nie dzieliła się z innymi, poczęstowała mnie sucharem. To był taki specjalny suchar, nasączony tłuszczem. Bardzo tłusty. Zjadłam kawałek i poczułam, że wracają mi siły i apetyt. Uratowało mnie to chyba od śmierci głodowej.

Całe dni siedzieliśmy w celi, bo na spacer nas nawet nie wyprowadzano, no i trzeba było czymś zapełnić ten czas. W większości w mojej celi siedzieli więźniowie polityczni, ale było też trochę spekulantek, drobnych złodziejek. Opowiadałyśmy sobie ciekawsze zdarzenia jakie nas spotykały w życiu, modliłyśmy się głośno i śpiewałyśmy różne piosenki. Różnych partyzanckich piosenek to ja się dopiero tam nauczyłam. Aby jakoś zabić czas grałyśmy w karty, które zrobiłyśmy sobie z chleba. Gdzieś tak w połowie roku, może to był czerwiec, zaczęli nas wyprowadzać na spa-

cery. Na podwórku znajdowały się obmurowane niby klatki, gdzie nas wprowadzano i gdzie można było zaczerpnąć trochę powietrza.

W mojej celi siedziało sporo ciekawych ludzi. Była wśród nich rzeźbiarka, której nazwiska niestety nie pamiętam. Miała na imię Anna. Nie mając innego materiału pod ręką rzeźbiła w chlebie. To były różne figurki, krzyżyki, orzełki, różańce. Bardzo się polubiłyśmy i zaprzyjaźniłyśmy. Nie wiem co się z nią stało, jak potoczyły się jej losy. Pewnie już nie żyje. Wtedy to już była dojrzała kobieta. Ja miałam niecałe 21 lat to ona mogła mieć około 40. A może żyje gdzieś za granicą? Bardzo chciałabym się z nią jeszcze spotkać, ale to chyba będzie niemożliwe...

Starałyśmy się utrzymywać kontakty z więźniami z innych cel. Niekiedy udało się zamienić parę słów na spacerze. Pod naszą celą znajdowała się tak zwana cela śmierci. Siedzieli tam chłopcy z Egzekutywy, którzy w czasie wojny, okupacji, wykonywali wyroki śmierci na zdrajcach. Wszyscy oni zostali przez sowietów skazani na śmierć. Później wyrok ten zamieniono im na karę dożywotniego więzienia, a tę karę z kolei na 20 lat katorgi. Wiem, że jeden z nich wywieziony był do Workuty i tam pracował w kopalni węgla początkowo na dole, a później jako laborant na powierzchni. Porozumiewałyśmy się z nimi za pomocą listów. Pisałyśmy na skrawkach papieru i spuszczałyśmy to przez okno na szaurku. Tą samą drogą otrzymywałyśmy odpowiedź. Z innymi porozumiewałyśmy się za pomocą stukania w ścianę alfabetem Morse'a. Znaki Morsa przekazywałyśmy też przez okno. Jedna drugiej stawała na ramionach, a inne pilnowały czy przez "wilczka" nie zagląda strażnik. Niekiedy otrzymywałyśmy informacje z domu przemycane na przykład w szczypiorku. W otrzymywanych paczkach zaklejano gazety, tak że miałyśmy trochę wieści ze świata, spoza murów.

Wyrok był prawomocny i ja się od niego nie odwoływałam. W ogóle nie miałam możliwości odwołania się od tego wyroku. Może moi rodzice chcieli to zrobić, ale nie było stosowane takie odwoływanie. Wyrok jaki zapadł był ostateczny.

Po rozprawie z powrotem nas przyprowadzono do cel, do innych już, bo ze wszystkimi rzeczami doprowadzono nas na ten proces. Z powrotem nas przyprowadzili, z tym że już po niedługim czasie nas wywieziono. Myśmy o tym nie wiedzieli co nas czeka, bo w zasadzie to już było po zakończeniu wojny, po 9 maja i wszyscy sądziliśmy, że w ogóle niedługo będziemy przebywać w więzieniu, bo upomni się o nas nowo utworzone państwo polskie. Byliśmy pełni nadziei. Nie wierzyliśmy w to, że mogą nas gdzieś wywieść, że te wyroki będą musiały być do końca odsiedziane. Niestety były to złudne nadzieje, bo okazało się zupełnie inaczej.

Przyprowadzono więc nas do cel i właściwie nie wiedzieliśmy co z nami dalej będzie. Jak mówiłam nie bardzo wierzyliśmy w to wykonanie wyroku, wierzyliśmy że wcześniej wrócimy do kraju, że nas wypuszczą. Byliśmy tacy pełni nadziei, nawet radośni po tej sprawie. Jakaś taka nadzieja w nas wstąpiła, ale nie długo to trwało. W zasadzie wróciło to samo więzienne życie bardzo uciążliwe. Znowu nas wepchnęli w wiele osób do celi. Co prawda te cele były większe. Pojedyncze cele, gdzie siedzieliśmy w 20 osób były poprzednio, jeszcze w czasie śledztwa. Przyprowadzono nas tym razem do olbrzymich cel, gdzie nawet było po 30-40 osób. Było dużo miejsca więc można się było nawet położyć wygodnie na podłodze. Poprzednio to na przykład musieliśmy się w nocy na komendę odwracać. Można było tylko na boku leżeć, bo nie było miejsca na to, żeby każdy się mógł wygodnie położyć na podłodze. Już nie mówię o jakiś łózkach czy pryczach, bo w pojedynczej celi była jedna prycza, ale nikt nie mógł z niej korzystać, bo wszy-

szy musieli się jakoś rozlokować. W tej dużej celi siedzieliśmy już nie tak długo, bo chyba z parę tygodni.

Na sprawie spotkałam się z rodzicami. Rodzice moi byli raczej bardzo pesymistycznie nastawieni. Nie wierzyli w to, że ja szybko wyjdę. Raczej byli jak najgorszych przeczuć co do mego losu. Dali mi wtedy taki krótki kożuszek. Zresztą bardzo dobrze zrobili bo ten kożuszek cały czas mi towarzyszył i chronił mnie od mrozu potem tam na Wschodzie. Parę innych drobiazgów też dostałam, trochę ubrania, a więc już byłam bardziej zasobna, bo dotychczas to w zasadzie nie miałam wcale ubrania. Jak mnie aresztowano na ulicy to miałam na sobie płaszcz, jeden sweterek, spódniczkę, bo w spodniach się dawniej nie chodziło, i jedną zmianę bielizny. To wszystko było strasznie zniszczone i właśnie wtedy rodzice dostarczyli mi trochę odzieży. Miałam już na zmianę.

Jak już mówiłam byliśmy tam chyba parę tygodni, dobrze nie pamiętam, może miesiąc. Gdzieś tak późną jesienią - listopad to był czy październik, ^{wywołano} ~~wysłano~~ nas. Byliśmy rozrzućeni po różnych celach. Bardzo dużo ludzi wtedy wywożono. Wywożano nas po nazwisku. Kazano nam się zbierać ze wszystkimi rzeczami, oczywiście nie objaśniając gdzie i po co, jaki los nas czeka. Wyprowadzono nas na podwórko - taki olbrzymi dziedziniec więzienny i było już tam mnóstwo osób. Ustawiono nas czwórkami, potem ósemkami a nawet 16-tkami, bo to olbrzymie podwórko nie mogło pomieścić takiej ilości ludzi. Było mnóstwo ludzi, wszyscy ubrani i przygotowani do drogi, z tobołkami. Całą noc trwała ta zbiórka. Tak, całą noc chyba byliśmy na tym podwórku. Było dość chłodno, ale ja miałam na sobie płaszcz, ciepło się ubrałam tak że nie przypominam sobie żebym była bardzo, bardzo zmarznięta. Było na du-
żo i nie odczuwałam zimna. Byliśmy pełni niepokoju co z nami zrobią. Wczesnym rankiem, to była chyba godzina 5 może, nie wiem

nie miałam zegarka, bo mi go zabrano przy aresztowaniu, w każdym razie było bardzo wcześnie rano. Wyprowadzono nas na ulicę pod uzbrojoną strażą a dookoła biegały psy. Tak wyprowadzali nas stamtąd do stacji kolejowej. Tam stały już wagony. Stały wagony towarowe, z okienkiem u góry okratowanym. Wszystko to bardzo przeżyłam, może nie tyle przeżywałam swój los, ale przeżywałam to że bardzo martwią się moi rodzice a szczególnie moja matka. Jak już mówiłam na początku, przez dwa tygodnie nie wiedziała co się ze ~~mną~~ mną dzieje i dopiero przez tego strażnika udało mi się przesłać wiadomość gdzie jestem... Tutaj też tak samo zobaczyłam ją na stacji. Bardzo osiwiiała, bardzo płakała i chciała zbliżyć się do wagonu. Jakiś strażnik zwrócił się do niej z karabinem i krzyczał, że nie wolno, że będzie strzelać, że nie wolno podchodzić. Matka moja wołała mnie po imieniu i ja się jej pokazałam. Udało mi się jakoś wspiać do tego okienka i pokazać. To było rzeczywiście bardzo przykre. Było bardzo dużo towarzyszących ludzi - rodziców, krewnych. Było to bardzo przykre rozstanie. Dość długo to wszystko trwało. Tak jak na tym podwórku zbierano nas przez szereg godzin tak i potem te wagony długo nie odchodziły. Nie wiem, ale trwało to parę godzin zanim je zapełniono. ^Nareszcie pojechaliśmy. Pojechaliśmy.

Nie wiedziałam dokąd jadę. Nikt nie wiedział dokąd jedziemy. Nie udało nam się zasięgnąć żadnego języka. Jechaliśmy dość długo. Dobrze już nie pamiętam jak tam było. Chyba jakąś strawę nam dawano. Chyba kawałek chleba dziennie i jakąś gorącą zupę czy gorącą wodę. Nie mieliśmy żadnych zapasów żywnościowych, jako że wieziono nas z więzienia. Żadnych paczek żywnościowych nam nie podano. Ta podróż trwała kilka dni, chociaż właściwie to nie było tak daleko. Zawieźli na niedaleko KŁAJPEDY. Jest tam taka miejscowość - to jest Litwa, a więc po litewsku ją nazwę SZYLU-

TIE, może po polsku to też jest SZYŁUTIE. W każdym razie niedaleko było do Kłajpedy. Trudno mi w tej chwili powiedzieć ile kilometrów, ale ta miejscowość jest prawdopodobnie na mapie. Tam nas przywieziono. Dość daleko wyładowano nas z wagonów i zaprowadzono nas do obozu. To było okropne wrażenie. Widziałam i przeżyłam więzienie, ale nie wiedziałam jak wygląda taki obóz dla skazanych.

Okropnie to wyglądało. Jak pokazują te niemieckie obozy to one luksusowo wyglądały. Przynajmniej jakoś przyzwoicie z zewnątrz. Ten tutaj to jakieś straszne rudery, dookoła drutem kolczastym ogrodzone, siatką z drutu kolczastego, potem był pas zagrabiony tzw. "zapretnajna zona" czyli zakazana strefa, zakazany teren. Był on chyba o szerokości paru metrów. Za tym był znowu taki wysoki płot, bardzo wysoki. To nie był duży obóz, mnie się on nie wydawał bardzo duży i miał kształt czworokątny. Na każdym rogu były wysokie wieżyczki a w tych wieżyczkach strażnicy, którzy pilnowali żeby nikt nie uciekł z tego obozu.

Wprowadzono nas tam i oczywiście była rewizja. Zresztą na każdym kroku była rewizja. Na Łukiskach, w tym więzieniu skąd nas wywieziono, to też nas kilkakrotnie rewidowano. Przerzucali nasze rzeczy i sprawdzali czy nie przewozimy nic niewłaściwego. Staliśmy bardzo długo na placu zanim nas rozmieszczono w barakach. Te baraki to były takie niskie domy. Takie prowizoryczne, tymczasowe jakieś. Miały małe okienka i były bardzo długie. Wewnątrz baraku były ustawione prycze, takie piętrowe po dwie na dole i po dwie na górze. Każdy miał swoją pryczę i jakiś tam siennik. Nie było materacy tylko były sienniki. Następnie wydawali nam pościel. To były chyba jakieś koce, chociaż nie przypominam sobie jaka to była pościel. Wiem tylko, że strasznie kradli jeden drugiemu tę pościel i trzeba jej było pilnować, bo można było

zostać w ogóle bez pościeli. Odejść i nic nie znaleźć, bo w baraku byliśmy razem z kryminalistami, którzy strasznie kradli wszystko co tylko im się nawinęło.

W takim baraku było nas chyba ze dwieście osób. Nie przypominam sobie dokładnie, może trochę mniej nawet. W Rosji były olbrzymie baraki, a te tutaj były trochę mniejsze. Nie było ich dużo, może ze 4. Tam byłam do przyszłego lata. Chyba tak. Najgorzej to z datami, nie przypominam sobie. No więc każdy dostał swoje łóżko, swoje rzeczy też mógł umieścić, ewntualnie mógł dać do takiej "kamery chranienia". Ja część rzeczy oddałam, bo nie było jeszcze tak zimno żebym musiała takie ciepłe rzeczy jak sweter czy kożuszek nosić. Oddałam to bo bałam się że mi ukradną, a odnalezienie własnej rzeczy było w ogóle niemożliwe, a nawet groziło zemstą ze strony tych kryminalistów. To byli tacy ludzie, którzy prawie nie wychodzili z więzienia. Wciąż mieli jakieś wyroki za złodziejstwo, za zabójstwa, defraudacje. Z więźniów politycznych utworzono specjalną brygadę i myśmy chodzili do pracy poza obóz, podczas gdy ci kryminalni pracowali w obozie, pracowali w kuchni, przy sprzątanii. W każdym razie przy lżejszych pracach. W tym obozie w zasadzie nie było takich bardzo ciężkich prac, chociaż mnie te prace wydawały się bardzo ciężkie, bo nie byłam przyzwyczajona do pracy fizycznej.

W tych Szyutach pracowaliśmy w ogrodnictwie i na polach. Sadziliśmy kapustę, zbieraliśmy buraki, przy młóccc pracowaliśmy. Pracowaliśmy bardzo ciężko, bo praca trwała 10 godzin. Jeden dzień był wolny. Nie zawsze w niedzielę to wypadało, bo jak akurat były jakieś zbiory to właśnie tam wysyłano więźniów, więc czasem i w niedzielę pracowaliśmy a mieliśmy w zamian jakiś inny dzień wolny np. poniedziałek. Wolny dzień polegał na tym, że robiło się wtedy dezynfekcję baraków. Wyrzucali nas ze wszystkimi

siennikami poza barak i była dezynfekcja odzieży. Panowała wszawica i w ogóle było w tych barakach brudno, pluskwy były. Okropne warunki. Właściwie ta dezynfekcja jeszcze bardziej mnożyła te insekty. Niewiele to pomagało.

Ja zachorowałam na tyfus, na tyfus brzusny i wtedy po raz pierwszy w tym obozie dali mi biały chleb. Dali mi dlatego, że byłam bardzo chora, bardzo źle się czułam. Szpitala właściwie ten obóz nie posiadał. Był jedynie pokój przeznaczony dla ciężko chorych. Mnie też umieścili w tym pokoiku. Nie było lekarza, był jedynie felczer. To znaczy był człowiek, który się podawał za felczera. Nie wiem czy on był rzeczywiście felczerem. Bardzo w to wątpię. Czułam się fatalnie i on zrobił mi zastrzyk i ja poczułam, że tracę mowę, władzę w rękach i nogach. Czułam po prostu, że umieram. Byłam cała zdrętwiała. Chyba ten zastrzyk był niewłaściwie zrobiony, może powietrze mi wpuścił. Do dzisiaj nie wiem co to było. Jakoś to wszystko przeżyłam i wszyscy się tym trochę przejęli i przestraszyli, bo w tym obozie nie było śmiertelnych przypadków. Jakoś wylizałam się z tego. Chyba z tydzień byłam w tym "szpitaliku". Tam rzeczywiście dobrze mi się powodziło. Nie musiałam pracować. Leżałam. Zresztą byłam bardzo słaba i wycieńczona. I tam właśnie dali mi ten biały chleb. Wszystkim dawali razowy, czarny chleb a ja dostałam biały. Przywilej

Jedzenie było tam obrzydliwe. Pracowaliśmy w ogrodnictwie w tamtejszych jakby PGR-ach. Nie wiem dokładnie. Nie znałam się na tym wtedy. Dawali nam tam zupę, przeważnie była to zupa z kapusty. To znaczy zupę gotowano na zielonych, wierzchnich liściach bez tłuszczu, bez niczego. Kartofle rzadko w niej pływały. Do tego dawali kawałek chleba. Jeżeli się wyrobiło normę, bo była określona norma, że należy tyle zrobić, żeby dostać na przykład pół kilograma chleba, to się dostawało tą porcję, a jeżeli ta

norma nie była wykonana to otrzymywało się mniej. Nie pamiętam czy to było 250 czy 300 gramów, w każdym razie niewielki kawałek chleba na cały dzień. Ja przeważnie normy nie wykonywałam i dostawałam tę mniejszą stawkę. Po prostu nie miałam siły, bo to jednak strasznie dużo pracy było. Była to ciężka praca na roli i w ogrodach i wielu z nas nie dawało sobie z tym rady.

W tym obozie byłam do 1946 roku. Gdzieś na jesieni znowu nas przesiedlono w inne miejsce. Przed tym przesiedleniem kierownik obozu wzywał do siebie poszczególnych więźniów. Oprócz mnie w zasadzie wszystkie moje koleżanki były na taką rozmowę wzywane. Kilka osób które miały mniejsze wyroki też nie były wzywane. Ja miałam 6 lat, a te moje koleżanki (już nie byłam z tą Basią) wszystkie miały po 10 lat. Poczulałam się strasznie zaniepokojona tym że mnie pominięto. Po obozie poszała taka fama, że prawdopodobnie przewiezieni oni zostaną do Polski, bo rozmowy były prowadzone tylko z Polakami. Strasznie to przeżywałam i myślałam sobie: "Mój Boże przecież ja muszę z nimi jechać". Poszłam do tego kierownika (nie pamiętam jak on się nazywał) z prośbą omal nie płacząc i błagałam go, żeby mnie też razem z nimi wysłał. Mówiłam, że to są moi przyjaciele, że chcę być z nimi wszędzie - na dobre i na złe. On był takim, no można powiedzieć poczciwym człowiekiem, popatrzył na mnie i zaczął mi tłumaczyć, że oni wcale nie pojedą do Polski tylko w zupełnie inną stronę, że pojedą na gorsze, na dużo gorsze, że im się szykuje straszny los i ja nie powinnam go prosić o dołączenie do nich. Ja znowu zaczęłam płakać i prosić go, żeby jednak to dla mnie uczynił, bo ja nawet na gorsze chcę być razem z nimi. No i rzeczywiście dołączył mnie do tego transportu i ja byłam ogromnie szczęśliwa z tego powodu, że jadę razem z nimi. Tego też dnia znalazłam się na liście i tego dnia wywołano wszystkich nas po nazwisku na rozmowę. Przepytywano nas szczegółowo. Pytano o imię, nazwisko,

trzeby było podać datę urodzenia, miejsce urodzenia, imię ojca. Oczywiście każdemu zrobiono rewizję. Chowaliśmy igły, ołówki, małe nożyki do krojenia chowaliśmy i jakoś udało nam się przeszmyglować. Wszystko to trwało dość długo bo chyba przez cały dzień. Kilkarotnie na przepytawali, żeby nie było żadnej pomyłki, że wzięto tę osobę, której nie należało. Potem pod konwojem zaprowadzono nas na dworzec.

Zapomniałam dodać, że w czasie mego pobytu w Szyłutach przyjechała do mnie moja matka. Nawet pozwolono mi się z nią widzieć i porozmawiać chwilę. Przywiozła mi paczkę z ubraniami i żywnością. W obozie, wśród nas panował wspaniały zwyczaj. My w swojej brygadzie politycznej dzieliliśmy się zawsze wszystkimi paczkami. To było coś wspaniałego. Jak tylko któraś czy któryś z nas dostał paczkę to szła do podziału. Część męska była oddzielona. Kobiety były oddzielnie i mężczyźni. Ja bardzo zaprzyjaźniłam się z taką Zosią. Ona obecnie mieszka w Katowicach. Wróciła w 56 roku jak Gomułka rozpoczął swoje rządy a ja w 52. Dzieliliśmy się dosłownie wszystkim. Jak w paczce dostało się kawałek słoniny to dzielone to było na każdego. Wielkim szczęściem była główka czosnku. Smarowałyśmy sobie nim chleb i wydawało się nam, że ten chleb jest ze słoniną. W każdym razie panowała wśród nas wielka solidarność. Nawet w pracy pomagałyśmy sobie i bardzo się szanowałyśmy. Nasza brygadzistka, która była zawziętą sowietką traktowała nas z pogardą i twierdziła, że więźniowie polityczni są najgorsi, gorsi nawet od kryminalnych i często nas nazywała faszystami i posyłała do najgorszej pracy. Pomimo tego Rosjanie nas szanowali. Dlatego, że myśmy się wzajemnie szanowali. Bardzo byliśmy ze sobą zżyci. Na czym polegała nasza wzajemna pomoc? Nieraz swój chleb oddawałyśmy tym mężczyznom, którzy też byli w tym obozie. Oni mdleli z głodu, a myśmy

jakoś sobie dawały radę. Nieraz surowe kartofle się jadło, przeszmurowało się ich trochę z pola. Mężczyźni byli bardzo niezaradni a myśmy jakoś łatwiej dawały sobie radę.

Nie przypominam sobie, czy w tym obozie były stosowane kary. Był tam karcer czyli taka cela, do której wsadzało się na dobę czy dwie takiego delikwenta, który coś przeszkrobał. Do nas raczej nie było zastrzeżeń. Myśmy chodzili do pracy, pracowaliśmy rzetelnie, to znaczy tyle ile mogliśmy. Wszyscy byliśmy młodymi ludźmi, nie byliśmy kombinatorami, wszyscy byliśmy uczciwymi ludźmi. Nie przypominam sobie, żeby ktoś z nas jakieś kombinacje robił. Odnośnie naszej pracy nie było zastrzeżeń. Fakt, że robiliśmy na pewno za mało, ale potem zaczęliśmy się dopasowywać i już wyrabialiśmy tę normę. Potem było nam łatwiej, ale na początku było nam bardzo trudno z wykonaniem tej normy. Natomiast jeśli chodzi o Rosjan to oni strasznie kręcili. Zawsze starali się oszukać "normowszczyka", że zrobili normę. Zawsze oszukiwali co nas zdumiewało. My nie potrafiliśmy tego robić. Chyba dzięki temu, że my tak się zachowywaliśmy to ci Rosjanie nas szanowali. Nawet tacy różni bandziory i złodziejaszcy, a takich było dużo. To byli wytrawni złodzieje dla których domem był łagier i oni tam się najlepiej czuli. W zasadzie to oni byli postrachem wszystkich, nawet tego naczelnika łagru. On się ich bał. Oni na pewno zasługiwali na kary, bo oni na przykład jak im się nie chciało to nie pracowali wcale, a chleb i wszystko dostawali tak jak inni. Myślę, że się ich bano.

Wracając do naszej wywózki, to zaprowadzono nas na stację kolejową pod strażą. Oczywiście dookoła nas biegały psy. Wsadzili nas do wagonów i zaczęła się straszna podróż. Ta podróż trwała bardzo długo, bo 2 tygodnie jechaliśmy. Najgorsze było to, że do wagonów wsadzono nas razem z tymi kryminalistami.

Oni wiedząc, że my mamy coś tam z paczek - jakieś suchary czy kawałek słoniny, schowane na czarną godzinę, starali się nam to ukraść. Terroryzowali nas. W tych wagonach działy się straszne rzeczy - bójki, kłótnie między nimi. Mieli nóż i tym nożem terroryzowali nas odbierając żywność. Te dwa tygodnie to był koszmar. Bród, smród. Cały czas byliśmy w wagonach. Nie wypuszczali nas na zewnątrz. W wagonie była dziura do załatwiania się. Wszystko to było okropne, ale najgorsze było to towarzystwo. Myśmy na przykład mieli zwyczaj modlić się głośno, a oni jak tylko mogli to przeszkadzali nam w tej modlitwie. Byli tacy złośliwi, mimo iż my staraliśmy się ich traktować jak ludzi, jak nieszczęśliwych ludzi, ale to były jednostki strasznie zdegerowane. Do nich nic nie przemawiało.

Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Potem już trochę rozeznaliśmy się po stacjach. Ktoś tam podpatrzył, że jednak jedziemy na Wschód, nie do Polski, nie na Zachód tylko na Wschód. No i tak nas dowieźli w tych strasznych wyrunkach, w brudzie i smrodzie. To było okropne. Te dwa tygodnie to ja przypominam sobie jak jakiś koszmar. Dowieźli nas na URAL. Ta miejscowość się nazywała DEREWNIKI, niedaleko SOLIKAMSKA. Jest na mapie. To jest po zachodniej stronie Uralu, na europejskiej stronie Uralu. Przywieziono nas do obozu i oczywiście zaraz poddano rewizji, potem mycie w łaźni, ale to mycie było takie prowizoryczne. Trzeba było całe ubranie zostawić i oni zabrali to ubranie do odwszalni. Wieszano się ubranie na wieszakach i poddawane ono było wysokiej temperaturze. W zasadzie to nic nie dawało. Potem już sobie sami dawaliśmy radę. Każdy wyprał swoje rzeczy i starał się zachować czystość.

To był olbrzymi obóz. Nie wiem ile było tych baraków. W każdym razie tam gdzie my mieszkaliśmy w części kobiecej było ich

chyba ze 20. To były olbrzymie baraki, chyba ze 300 osób w każdym. Była też część męska i tam też było sporo tych baraków. Nie wiem ile, bo nigdy nie byłam w tej części. Była też część dziecinna dla tzw. "małoletów" To była najstraszniejsza część. Te dzieci liczyły od 12 do 16 lat. To były dzieci przestępcy. I mordercy i złodzieje byli wśród nich. Te dzieci już kradły, już były zbrodniarzami. Tam było strasznie. W ogóle sami strażnicy więzienni bali się tam wchodzić. Te dzieci to były zwierzęta, dzikie zwierzęta po prostu. Było tam chyba ze 300 tych dzieci. Myśmy nie mieli do czynienia z nimi, bo oni nie chodzili do pracy. Nimi nikt się nie zajmował. Dawano im tylko jeść. Te dzieci robiły co chciały. Nieszczęśliwe dzieci.

Zaczęły się chłody. To był 46 rok i zaczęły się chłody, bo tam szybko zima przychodzi. Tam mówi się, że 12 miesięcy zima a reszta lato. Na Uralu przeważnie są bardzo duże zimy, a więc mieliśmy po 30 a nieraz po 36 stopni mrozu. W baraku były dwa piece, ale w zasadzie one wcale nie dawały ciepła. Wkładało się do nich mokre drzewo i ono się tylko tliło. Było zimno. Okna były zamarznęte, podłoga skrzypiała oblodzona.

Byłam razem z moimi koleżankami. Nas było chyba z 15 dziewczyn mniej więcej w moim wieku. Były też młodsze i trochę starsze. Miałyśmy mniej więcej między 18 a 25 lat. Utworzono z nas brygadę więźniów politycznych. Znowu dostałyśmy za brygadzystkę Rosjankę, która była strasznie cięta na nas, bo nienawidziła Polaków. Traktowała nas bardzo źle. Miałyśmy z nią do czynienia tylko w pracy, bo nie mieszkała chyba z nami. Mieszkała w innym baraku. W każdym razie bardzo źle się do nas odnosiła. Do pracy prowadzono nas poza obóz. Tym razem już nie pracowało się na polu ani w ogrodzie. Pracowałyśmy na budowie. Przypuszczam, że w tym Solikamsku były fabryki chemiczne, bo jak się wjeżdżało na te tereny to niebo całe było zasnuwane dymami żółtymi i czer-

wonymi. Siarka jak się pali to takimi dymami zmienia się kolor nieba. Tam zawsze były dymy. Zawsze były jakieś nieprzyjemne zapachy. Tam był przemysł zbrojeniowy, chemiczny prawdopodobnie. Pracowaliśmy na budowie. Nasza brygada dziewcząt była posyłana do robót ziemnych. Dali nam kilofy, łopaty, łomy i trzeba było kopać ziemię. Były wytyczone wykopy pod fundamenty czy jakieś instalacje i wszystko to kopali ludzie. Nie widziałam na tej budowie żadnych koparek. Były to olbrzymie budowy, a nie było żadnego sprzętu mechanicznego tylko wszędzie pracowali ludzie. To był teren podgórki. Z wierzchu w zasadzie był piasek, ale dalej zaczynały się skały, zatem było bardzo ciężko kopać, a w zimie to nawet ta wierzchnia warstwa była zamarznięta. Trzeba było kuć kilofami. To było strasznie uciążliwe. Początkowo miałam na rękach same bąble. Zresztą nie tylko ja. Nie miałyśmy przyzwyczajonych rąk do kilofa, do łopaty. Całe dłonie miałam w ranach.

Razem z nami była moja nauczycielka języka francuskiego z Wilna - pani BOROWSKA. Ona nie żyje. Umarła w lagrze. My byłyśmy młode dziewczyny, a ona była starsza. Miała chyba koło 50-tki. Ona nas podtrzymywała na duchu. To była taka dobra kobieta i jak widziała, że my się załamujemy to ona nas pocieszała mimo, że też była tym wszystkim przygnębiona. Co prawda, że jej do ciężkich robót nie posyłano. To była już starsza i schorowana osoba. Lekarz stwierdzał jaką kategorię ma więzień i jaką pracę może wykonywać. Myśmy wszystkie miały oczywiście pierwszą kategorię, bo byłyśmy młode dziewczyny. To że ja byłam jak patyk, mizerna, bez żadnych mięśni to to się nie liczyło. Byłam młoda. Ta pani Stefania (chyba Stefania się nazywała) była starszą schorowaną osobą więc lekarz dał jej niższą kategorię, chyba 3. Ona pracowała więc w obozie. Sprzątała, myła podłogi. W każdym razie to była lekka praca w porównaniu z na-

naszą. My nigdy nie pracowałyśmy w obrębie obozu. Nigdy. Było takie niepisane prawo, że więźniowie polityczni nie mogą być zatrudnieni w obozie tylko kryminalni. Do pracy nas wyprowadzano przez uzbrojonych strażników z psami. Nieraz kilkanaście kilometrów szliśmy do pracy. Bardzo wcześnie nas zrywano, żebyśmy tam zdążyły na godzinę 7 i tam pracowałyśmy 10 godzin, no a potem powrót. Nogi miałam tak strasznie ponacierane i jeszcze te psy takie ziejące paszczami z czerwonymi oczami. To było straszne. Koszmar. No, ale jakoś trzymałyśmy się.

Kiedyś miałam już tak ręce pokrwawione od kilofa, że gdy wróciłam do domu i wdrapałam się na pryczę (to były nary zrobione z desek, na dole dwa posłania i na górze też dwa przedzielone tylko taką małą przegródką), a miałam miejsce na górze to powiedziałam, że ja już chcę umrzeć. Tak starsznie byłam przygnębiona tym wszystkim. Czułam, że już dłużej nie wytrzymam. To było już na granicy wytrzymałości. Nogę miałam natartą strasznie. Winne temu były i buty jakie nam dali. Jak była zima to dawali nam wołjoki, w których jeszcze było wygodnie... To były sznurowane buty, bardzo ciężkie, przeważnie za ciężkie, za duże. Jeżeli się miało jakieś skarpety to się je wkładało, a jak nie to trzeba było owijać nogi, żeby noga się nie ślizgała. Ja miałam zawsze za luźne buty, spadały mi, więc ponacieriałam strasznie nogi, poza tym ręce i w ogóle czułam się tak jakbym już więcej nie była w stanie iść do pracy. Powiedziałam: "Koniec ze mną! Nie idę na obiad! Nic nie chcę! Ja tu po prostu chcę umrzeć i koniec". Płakałam strasznie. I wtedy właśnie ona (ta nauczycielka z Wilna zaczęła mnie pocieszać mówiąc: "Słuchaj musisz wziąć w garść, bo inaczej nie dotrwasz. My musimy wytrwać! Doczekamy się naszej Polski, wrócimy i wszystko będzie dobrze". Tak mnie pocieszała i na prawdę to było bardzo wzruszające..Ja tego nie mogę zapo-

mnieć do dzisiaj jak ona we mnie jakieś takie życie tchnęła. Nabrałam chęci do życia. Pomyślałam sobie: "Trudno, muszę przetrwać. Muszę. Widocznie taki muszę przeżyć los". Zeszłam i poszłam na obiad. Dawali nam tam przeważnie rybne zupy. I to były... Obecnie jak poczuję zapach ryby to robi mi się niedobrze, tak miałam dość tych zup rybich. Te zupy były gotowane z takich małych rybek, drobnych. Nie wiem jak one się nazywały. I w tej zupie pływały rybnie oczy. To było okropne, no ale trzeba było to jeść, bo człowiek inaczej byłoby głodny. Wtedy w każdym razie dałam się namówić. Poszłam na na tę kolację. Dwa razy dziennie nam dawali zupę i raz dziennie chleb. To było nasze jedzenie przez cały dzień. Chleba dawali 20 dkg rano czy 30 dkg rano a 20 wieczorem, a czasem skomasowane 50 dkg, no bo jednak to była ciężka praca. Ja dostawałam pół kilograma chleba na dzień. Były więc chwile ^{zła} załam, które jakoś musiałam przetrzymać, a to właśnie dzięki tej, jak ją nazywałyśmy naszej ciocie, która podtrzymywała nas na duchu.

Jak już mówiłam nasza brygada chodziła do pracy na budowach. Prace były różne. Przeważnie prace ziemne. Potem pracowałyśmy w budynkach, malowałyśmy farbami. Farbami olejnymi. To były jak sobie przypominam olbrzymie hale. Prawdopodobnie dla przemysłu. Stalowe konstrukcje. Olbrzymie hale. W obozie były też organizowane różne kursy. W czasie pracy oczywiście. Parę miesięcy się pracowało pod dozorem mistrza. Ja skończyłam kurs murarski i malarski. Wtedy się wykonywało inne prace, może i trochę lżejsze, bo malowanie było dużo lżejsze od kopania. Najstraszniejsze było kopanie rowów. Cały czas pracowałyśmy fizycznie.

Chciałabym jeszcze opowiedzieć o naszych stosunkach między Rosjanami a Polakami. Stosunki między nami były dobre. Czuliśmy się współtowarzyszami niedoli. Oni opowiadali nam o swoim życiu.

Bardzo mnie to interesowało. Oni to byli strasznie biedni ludzie gdzieś tam z kołchozów... Jakie przestępstwa ich były? No na przykład ukradł w kołchozie worek kartofli - z głodu prawdopodobnie.

Ja raz w w roku dostawałam paczkę, właśnie z Wileńczęzyny. Z tej miejscowości Turgiele dostawałam paczkę, bo moi rodzice już byli wtedy w Łodzi. Wyjechali. Ja zresztą bardzo ich prosiłam, żeby wyjechali bo obawiałam się że ich wywiozą do Rosji, a po co? Już wystarczy, że ja jestem. Kiedyś dostałam więc paczkę i w tej paczce był kawałek słoniny, była cebula. To było bardzo potrzebne, bo wszyscy mieliśmy szkorbut, tzn. chorobę awitaminozę. Żeby nam się chwiały i ropa płynęła z dziąseł, bo nie mieliśmy żadnych witamin. Taka paczka to było wielkie szczęście, bo jednak była cebula czy czosnek. Tam była z nami zaprzyjaźniona taka dziewczyna - Rosjanka i ona pierwszy raz w życiu widziała słoninę. Ona nigdy w życiu nie widziała słoniny. Nie wiedziała co to jest słonina, co to jest masło. Ci ludzie byli strasznie biedni.

Zaprzyjaźniłyśmy się też z takimi rzezimieszkami tzw. "woramiami". Nazywało się ich też "urki". Zaszczytą nazwa to była "wor" Oni nas też bardzo lubili. Przychodzili do nas. Pracowaliśmy wtedy razem - mężczyźni i kobiety. My przy swoich pracach i oni przy swoich. Nad nimi też zawsze czuwał jakiś brygadzysta, bo wszyscy byliśmy pod czujnym okiem. Oni nam opowiadali swoje życie. Pamiętam był taki Wicia, który bardzo pięknie śpiewał. On przychodził do nas, ale nie pracował bo był "Urkiem" i wszyscy się go bali. Miał wszystkie zęby złote. U nich ilością złotych zębów tzw. fiksów określa się wysokość i rangę zbrodni. On miał wszystkie zęby złote i to był straszny typ w ogóle. Iluś tam ludzi zamordował, iluś okradł, ale mimo wszystko to był jakiś

strasznie miły i poczciwy człowiek. Myśmy go bardzo polubiły. Przychodził do nas, siadał na parapecie i śpiewał nam te zło-
dziejskie piosenki. Myśmy się też ponuczali tych piosenek. I
on na przykład jak nam potrzeba było coś przynieść to nam poma-
gał. Ja miałam pracę, która polegała na ogrzaniu 4 - 5 mieszkań.
Ja miałam pod opieką dwa takie domy. Musiałam w ciągu jednej
zmiany napalić w piecach w tych dwóch budynkach. Na początku to
była dla mnie makabra, bo żaden mi się piec nie chciał rozpalić.
Zrsztą drzewo było mokre. On na przykład nam pomagał rąbać drze-
wo, piłować drzewo. Jak już napaliłam w tych dwóch budynkach we
wszystkich piecach to mogłam sobie przy tym piecu usiąść i og-
rzać się przynajmniej. Miałam chwilę wytchnienia, bo tak wła-
ściwie to nie czuwał nade mną żaden brygadzysta. Przychodził i
sprawdzał jedynie czy rzeczywiście pali się we wszystkich pie-
cach. Budowało się w zimie a tam były silne mrozy więc trzeba
było ogrzewać te pomieszczenia, żeby tynk nie odpadał i żeby
te budowy można było wykończyć. Więc oni (te "urki") nam pomaga-
li, śpiewali różne piosenki, opowiadali historię swojego życia,
która była wstrząsającą. To przeważnie były dzieci bez rodziny,
bez rodziców, których rodzicami byli też różni kryminaliści.
I oni nas bardzo szanowali. Dziewczyny Rosjanki strasznie klęły,
używały strasznych wprost słów. Ja nasłuchiwałam się tych okro-
pnych słów i dziwiłam się rosyjskiej pomysłowości, że można wy-
myśleć takie okropne przekleństwa. Z naszych ust natomiast ni-
gdy nie padały takie słowa. Mówię o tym nie dlatego, że chcę po-
kazać, że byłyśmy lepsze. Też nieraz nam się chciało dobrze za-
kląć przy tym wszystkim, ale jakoś się opanowałyśmy. I oni to
dostrzegali. Mówili nam, że my jesteśmy coś lepszego, jacyś inni
ludzie, nie tacy jak oni, bo oni to rzeczywiście są dnem, bez
żadnej moralności. Oni bardzo interesowali się tym jak u nas w

Polisce się żyje, jakie są szkoły. Wszystko im opowiadałyśmy. Myśmy tynkowały czy sprzątały, a w tym czasie ten czy tamten siedział i opowiadał czy śpiewał. Myśmy robiły swoje, bo inaczej nie wykonałybyśmy normy i nie dostały jeść. I właśnie oni wielkim szacunkiem nas obdarzali. Zawiazywały się nawet przyjaźnie.

W naszej bragadzie byliśmy bardzo ze sobą związane i związane byliśmy z naszymi mężczyznami. To przeważnie byli młodzi mężczyźni. Tacy mniej więcej w naszym wieku, może trochę starsi. Przeważnie to byli studenci albo licealiści, bo taka młodzież przeważnie wtedy była zaangażowana. Byli też starsi. W tym obozie spotkaliśmy Polaka. Właściwie on nie mówił po polsku. On mówił po rosyjsku, ale był Polakiem. Nie pamiętam jego życiorysu, ale to był Polak i trzeba opowiedzieć to co on dla nas robił, bo to był wspaniały człowiek. Myśmy go nazywali "Tatuńcio". On był dużo starszy od nas, miał chyba już dobrze po 50-tce. Był w tym obozie jako więzień polityczny.

Tam na Uralu było bardzo dużo Niemców wywiezionych z Ukrainy. Zresztą bardzo przyzwoici Niemcy. Urodzili się w Rosji i tam mieszkali, bo to byli koloniści niemieccy. W czasie wojny z Niemcami Rosjanie wywieźli wszystkich Niemców z Ukrainy na Ural. No może nie wszystkich, w każdym razie było tam mnóstwo Niemców. Ci Niemcy byli przeważnie fachowcami - krawcami i innymi rzemieślnikami. W tej miejscowości była szwalnia prowadzona przez Niemców na wolnej stopie i tam byli niektórzy więźniowie zatrudniani. I właśnie ten Tatuńcio wystarał się, żeby 6 czy 7 z nas, nie 6, zostało zatrudnionych w tej szwalni. Między innymi byłam i ja. Ja w ogóle nie umiałam szyć, co najlepsze, ale miałam trochę zmysłu artystycznego, dobrze rysowałam i przeznaczyli mnie do działu lalek. Na Boże Narodzenie to się robiło... chociaż tam Świąt Bożego Narodzenia w zasadzie nie było... więc robiło

się Mikołaje z waty. Bardzo szybko nauczyłam się to robić. Potem szyłam lalki. W każdym razie tam chyba byłam z pół roku w tej szwalni, bo potem przeszłam z działu lalkarskiego na maszynę elektryczną i szłam takie "ciełogiejki" tak zwane, waciaki. Też była norma. Pięć waciaków dziennie. W tej szwalni ja sobie świetnie zaczęłam dawać radę. Zresztą wszystkie moje koleżanki też. Sporo Łotyszy było tam zatrudnionych. Żydów też sporo było w tej szwalni. Tam chyba ze 25 osób pracowało w tej szwalni. Z tym, że nas - więźniów politycznych było chyba 10 czy 12. Przeprowadzali nas i odprowadzali. Tam ja wyrabiałam więcej jak jedną normę. Na normę trzeba było chyba 3 takie waciaki uszyć, a ja szyłam 5. To było 150 procent normy. To był rok 48.

Chyba pod koniec 48 roku znowu był transport i znowu moje koleżanki zostały wywiezione. Z naszej bragady w zasadzie ja sama zostałam w obozie. One wszystkie zostały wywiezione do NORYLSKA do KRASNOJARSKIEGO KRAJU. Co one tam przeżyły to nawet mi się nie śniło. Straszne były ich dzieje. Nie mieli zresztą nadziei na powrót. 10 lat musiały tam odbębnić. Zresztą nie tylko one, bo ci znajomi mężczyźni też.

Wracając do szwalni to pracowałam tam z pół roku czy 8 miesięcy. To był cudowny okres w moim życiu obozowym, bo dostawałam oprócz zupy jeszcze dwie łyżki kaszy. Bo to było tak. Jeśli ktoś wykonywał ponad normę to dostawał jeszcze drugie danie na obiad, to znaczy parę łyżek kaszy. Już nie chodziłam głodna, to znaczy owszem byłam wciąż głodna, ale już nie tak jak poprzednio. Dzięki temu Tatuńcowi. On nas tak pourządzał.

Przyszedł rok 48. Oni wszyscy zostali wywiezieni. Rozstanie nasze było bardzo smutne. Zostałam sama. Byłam tym wszystkim bardzo przerażona. Musiałam jeszcze tam być do 51 roku. Zostali tam jeszcze Litwini, bo Litwini też byli więźniami politycznymi.

Były tam dwie sympatyczne Litwinki. Dwie siostry. Jedna z sióstr też została wywieziona na Sybir dalej, a druga została. Ta druga miała mniejszy wyrok - chyba 5 lat i wróciła trochę wcześniej. Dlatego o niej mówię, bo dzięki niej dostałam potem pracę. Po wyjściu z obozu ja nigdzie nie mogłam dostać pracy. To też było tragiczne. Ona się nazywała MARITE. Ona nie mieszkała w Wilnie, ale gdzieś tam koło Białej Wąki. Tam była jej matka i ona do tej matki wróciła. Jej siostra została wywieziona do Krasnojarskiego Kraju.

Ja zostałam w tym obozie do końca. Zostało bardzo dużo ludzi, ale z tej brygady tylko ja sama. Nie miałam już nawet z kim rozmawiać po polsku, bo z tą Litwinką rozmawiałam po litewsku, bo znałam trochę język litewski, a poza tym musiałam porozumiewać się po rosyjsku. Nie było już tam Polaków. Tatuńcio chyba został zwolniony, czy też go przewieziono. Zostałam sama wśród Rosjan, Litwinów, których było też niewielu i trochę było Łotyszy, bo bardzo dużo było więźniów politycznych Łotyszy, ale ich też wywieziono razem z Polakami. Wywieziono wszystkich politycznych więźniów z długimi wyrokami. Od 10 lat powyżej. Chciałam jeszcze dodać, że w szwalni pracował ze mną taki technik - Rosjanin, który - ja się interesowałam zawsze kto i za co siedzi, też był więźniem politycznym. Był to człowiek dość ograniczony. Umiał tylko szyc na maszynie mechanicznej, trochę je naprawiał, oliwić. Był burkliwy i mało mówił. Kiedyś go zapytałam: "Słuchaj, powiedz mi za co ty siedzisz?" On dostał 10 lat. On nie chciał powiedzieć, ale w końcu powiedział tylko prosił, żeby nikomu nie mówić, bo się bał. Powiedział mi, że podobno podczas rozmowy z kimś tam wyraził się, że niemiecka technika stoi wyżej od radzieckiej. I za to dali mu 10 lat. Chciałam to powiedzieć, żeby było wiadomo za co były te wyroki. Zwolnili go potem i on wrócił

na Ukrainę, bo on był z Ukrainy. Nie wiem co się z nim działo potem.

Ja pracowałam potem przez cały czas na budowie. Trochę nauczyłam się tynkarstwa i malarstwa, ale mimo wszystko musiałam bardzo ciężko pracować, bo musiałam nosić na przykład zaprawę na pierwsze, drugie piętro. To było strasznie ciężkie. Nosiło się to na nosilkach. Jedna osoba trzymała za rączki z jednej strony a druga z drugiej. Cegły się nosiło. Nie było żadnego sprzętu mechanicznego. Wszystko wykonywali ludzie. Był straszny prymityw. Nie widziałam tam koparki, nie widziałam tam dźwigu na na tej budowie. Żadnej techniki. Wszystko wykonywali więźniowie.

Przebywałam tam w tym obozie do roku 50. Trochę jakby na początku 50 roku zaczęło się robić lżej. W dalszym ciągu oczywiście ciężko pracowałam, ale zahartowałam się. Nawet się poprawiłam i nabrałam troszkę więcej siły. W tym czasie zachorowałam też na malarię. Dostawałam chininę. W tym obozie był lekarz. Ona dawał mi chininę i trochę nawet ogłuchłam na jedno ucho od tej chininy. Miałam straszne ataki malarii. Niby wydawałoby się że to taka miejscowość, gdzie więcej zimy niż lata, a mimo to.. To na pewno była malaria, bo miałam straszną temperaturę, przeważnie w nocy. W nocy albo wieczorem ta temperatura mnie okropnie trzęsła. Miałam chyba ze 40 stopni, a potem spadała mi bardzo nisko. Rano kiedy trzeba było iść do pracy to mnie temperatura opadała. Lekarz, jeśli się miało 38 stopni temperatury to dawał zwolnienie na 1 czy 2 dni. Zależało to od tego jak długo ta temperatura była. 37 stopni już nie oznaczało temperatury. Po ataku malarii to ja byłam strasznie słaba. Miałam więc niżej niż 36^o, ale do pracy iść musiałam. Były to dla mnie bardzo ciężkie dni, a te ataki miałam chyba z pół roku. Potem trochę mi się polepszyło właśnie dzięki tej chininie.

Na Święta Bożego Narodzenia, czy Święta Wielkanocne zawsze urządzaliśmy sobie święta. Oczywiście nie było żadnej choinki na Święta Bożego Narodzenia, ani opłątka, ale starałyśmy się cały dzień nic nie jeść, żeby zrobić sobie Wigilię z tego przydziałowego chleba czy ewentualnie kaszy. Śpiwałyśmy kolędy i starałyśmy się spotkać ten dzień wigilijny uroczyście łącząc się ze swoimi rodzinami. Chciałam jeszcze wspomnieć o Świętach Wielkanocnych. Obiecałam sobie, że w każdy Wielki Piątek nie będę nic jadła. Moje koleżanki pukały się w głowę, ale ja im powiedziałam, że jeżeli zrobię takie postanowienie, że nie będę nic jeść raz do roku w Wielki Piątek, a to nie było takie wielkie poświęcenie, to będzie pewne, że wrócę do Polski. Oczywiście dotrzymałam słowa. Opowiem o jednym takim Wielkim Piątku. Miałam swoje legowisko na pięterku i po całym dniu pracy bez jedzenia nie mogłam w ogóle wejść na to pięterko. Koleżanki mnie wpychały, albo ustępowały swojego miejsca na dole. To było wspaniałe, że człowiek mógł dotrzymać swego słowa i panować nad sobą. Przez jakiś czas był u nas w obozie ksiądz. Spowiadałam się nawet u niego. Byliśmy wtedy w pracy i ja po prostu usiadłam obok niego. Był taki moment kiedy nikt nas nie pilnował i wyspowiadałam się, a następnego dnia przysłał mi Komunię Świętą w pudełeczku. Ksiądz też był więźniem. Był więźniem politycznym. Moje koleżanki też skorzystały z okazji i wyspowiadały się, ale był to pojedynczy przypadek i potem ten ksiądz został gdzieś przewieziony. To była jedyna okazja. Ta Komunia Św. to był kawałek chleba poświęcony. Nie wiem gdzie on odprawiał Mszę Św., bo nie miałam nawet możliwości porozmawiania z nim. On chciał wyspowiadać jak najwięcej więźniów i nie było czasu na rozmowy. To też było wspaniałe.

Zostałam uwolniona 4 grudnia 1950 roku, chociaż powinnam być zwolniona później. 6 lat kończyło mi się w 51 roku - chyba 26 lutego. Dzięki temu, że pracowałam w szwalni i wyrabiałam większą

większą normę mogłam być wcześniej zwolniona. Wyszło takie zarządzenie. Za ten czas liczyło mi się jakby półtora dnia, znaczy pół dnia mniej do odsiedzenia. Tak więc skróciła mi się kara prawie o trzy miesiące.. To sporo. Zostałam zawiadomiona, to znaczy zostałam wezwana przez Urząd NKGB, który był w tym obozie i powiedziano mi, że 4 grudnia kończy się moja kara, że mogę być zwolnioną. Powiedziano mi, że otrzymam dowód radziecki z obywatelstwem radzieckim. Ja się strasznie na to oburzyłam. Powiedziałam, że ja mam obywatelstwo polskie i że w tym dowodzie powinni mi wpisać obywatelstwo polskie. Ja jestem Polką. Oni na to powiedzieli mi, że byłam sądzona przez ich sąd to znaczy, że mam obywatelstwo radzieckie i że to jest zaszczyt i honor otrzymać takie obywatelstwo. Zapytano mnie dokąd chcę jechać. Powiedziałam że do Wilna skąd zostałam zabrana. Oni na to, że nie, do Wilna nie mogę. To znaczy na początku powiedziałam, że do Łodzi, do Polski, bo wiedziałam, że tam są moi rodzice, bo otrzymywałam stamtąd od nich listy, ale tam nie mogłam, to powiedziałam o Wilnie.

Od rodziców otrzymywałam listy i czasem paczki. To były małe paczki - jakieś parę kilo. W paczkach tych był miód, kakao, czekolada i jakieś inne słodocze, ale ja nie mogłam wykupić tych paczek. Jedną jedyną paczkę udało mi się wykupić. Posprzedawałam sukienki jakie tam miałam i jeszcze coś. Miałam też trochę własnych pieniędzy, bo zajmowałam się trochę szyciem zarobkowo. Będąc w tej szwalni nauczyłam się robić chusteczki. Obszywało się małe kawałki materiału nitką szpulkową i dodatkowo robiło takie szerokie koroneczki. Robiłam to w nocy, albo wieczorami. Miałam więc trochę zgromadzonych pieniędzy, koleżanki też mi dały parę rubli i mogłam tę jedną paczkę wykupić. Te paczki były od mojej rodziny i jak się potem dowiedziałam od mojej matki to ona opła-

cała całe cło i ja nie powinnam była nic płacić. Oni aby utrudnić mi odebranie paczki kazali mi jeszcze za nią płacić jakieś 50 czy 30 rubli, a dla więźnia to była olbrzymia suma. W tej paczce, którą mi się udało przy pomocy koleżanek wykupić było trochę miodu, czekolada i jakieś tam słodycze. Właściwie bez tego można się było obyć. O tym, że ja tę paczkę wykupiłam moja matka dowiedziała się, bo nie wróciła ona do niej. Tamte wszystkie wracały z powrotem. Wysłanie takiej paczki wymagało strasznie dużo trudu, bo trzeba było jechać do Warszawy i tam prosić o pozwolenie, następnie trzeba było uzyskać zezwolenie ze stacji epidemiologicznej, że Broń Boże nie jest tam nic zarażone czy zakażone, że można to wysłać. Mama mówiła mi, że strasznie trudno było wysłać taką paczkę i raptem po tych wszystkich korowodach ta paczka wracała z adnotacją, że adresat nie przyjął jej. Mama nie wiedziała co jest grane, a ja po prostu nie miałam pieniędzy, żeby wykupić taką paczkę. Normalnie nie było żadnej możliwości wykupienia paczek. Udało się tego dokonać dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że pracując w szwalni mogłam dorobić sobie dżubaniem tych chusteczek. Podzieliłam się oczywiście tą paczką z koleżankami. Zjadłyśmy tę paczkę razem i jeszcze poczęsto ważyliśmy tych swoich przyjaciół Rosjan, z którymi byliśmy w zażyłości.

Wracając do mego zwolnienia to jak już wspomniałam zapytano mnie gdzie chcę wracać. Początkowo powiedziałam, że do Polski, bo tam są moi rodzice, ale oni odpowiedzieli, że tam to absolutnie nie, bo ja jestem obywatelem radzieckim i powinnam zostać w Związku Radzieckim. Zaproponowali mi też pracę na Uralu, że dadzą mi dobrą pracę, że jestem zdolna a więc mogę się uczyć, że mając maturę mogę tutaj nawet studia skończyć. To było tylko myślenie oczu, bo nikt by mnie na studia nie dpuścił. Byłam więźniem politycznym, a taki człowiek to jest spalony w Związku Ra-

dzieckim. Teraz może coś się zmieniło, ale wtedy tak było. To był człowiek wykreślony z życia. Dalej powiedziano mi, że do Wilna to też nie, bo Wilno jest miastem wojewódzkim, stolicą republiki. Mogę mieszkać 100 km od miasta wojewódzkiego. Nawet nie wolno mi przebywać w mieście wojewódzkim nie mówiąc już o mieście takim jak stolica. Powiedziałam więc, że muszę się nad tym wszystkim zastanowić, a na obywatelstwo to ja się absolutnie nie zgadzam. Wróciłam więc i dalej pracowałam. Naradzałam się też ze swymi przyjaciółmi co zrobić. Nastraszyli mnie, że jak się nie zgodzę na przyjęcie obywatelstwa to mogą mi dodać jeszcze 10 lat. Oni w ogóle bali się sprzeciwić cemukolwiek co powiedział Urząd NKGB. Pracowałam wtedy z jednym Żydem. To był młody człowiek, który siedział chyba za defraudację. Mówię do niego: "Słuchaj ja bym się chciała dostać bliżej granicy to może mi się jakoś uda dostać do Polski". Wtedy nie miałam zupełnie pojęcia o tym, że nie ma żadnej możliwości przejścia przez zieloną granicę. On mi na to: "Słuchaj to świetnie, bo moi rodzice mieszkają na Ukrainie to może ty tam pojedziesz, może poznasz tam Polaków". Był to bardzo dobry człowiek, dał mi adres i list do swoich rodziców. W Wilnie i w odległości 100 km od miasta nie miałam nikogo znajomego. Pomyślałam więc, że skoro on dał mi list, to trzeba zaryzykować. Ostatecznie jest to bliżej granicy i może mi się uda. Po paru dniach jak mnie znowu wezwano to powiedziałam, że zgadzam się na przyjęcie tego paszportu skoro nie może być inaczej. Muszę przyjąć skoro zostaje przymuszona do tego. Ja po prostu chciałam jak najprędzej wyjść stamtąd. Ja już nie mogłam wytrzymać. Im bliżej bliżej końca tym trudniej mi było wytrzymać. Z tym było tak jak w kolejce, im człowiek bliżej lady tym bardziej się denerwuje, że jeszcze tak długo. Ja też pod koniec byłam coraz bardziej zdenerwowana.

Chciałam jak najszybciej wyjść, już miałam tego wszystkiego dość. Do tego jeszcze ten strach, że mogą dołożyć jeszcze te 10 lat. Wtedy to po prostu bym chyba sobie życie odebrała. Zgodziłam się więc na przyjęcie dokumentów, podałam adres pod który chcę jechać. Oni sprawdzili, że rzeczywiście to jest mała miejscowość. Nazywała się ona LIPOWIEC, niedaleko Winnicy. Jechało się tam przez Kijów. Było to niedaleko Kijowa.

Przyszedł wreszcie ten dzień, kiedy wyszłam z obozu. Na terenie tego miasta mieszkali byli więźniowie. Poszłam do jednej znajomej, żeby dowiedzieć się kiedy odjeżdża pociąg. Dostałam darmowy bilet do tego Lipowca i bardzo niewielką sumę pieniędzy. Miałam też trochę swoich pieniędzy, które uciulałam robiąc te chusteczki. Nie wiem, miałam może 50 rubli, a może mniej. Mnie wydawało się, że mam bardzo wielką sumę. Wreszcie zostałam więc zwolniona. Jak mnie wypuszczono z tego lagru to zaczęłam biec. Biegłam tak, że nie mogłam złapać tchu. Miałam takie uczucie, że ktoś mnie goni i cały czas się oglądałam za siebie. A może oni się rozmyślili? Może jeszcze mnie zamkną?! Chciałam jak najszybciej stamtąd wyjechać, żeby ich w ogóle nie widzieć, zmienić otoczenie. Poszłam do domu, gdzie mieszkała ta moja znajoma. Ona czymś mnie poczęstowała, chyba herbatą? Zapytałam jak jej się tu żyje. Odpowiedziała, że bardzo dobrze. Na pewno w porównaniu z obozem to było jej dobrze. Dostała mieszkanie, pracę i mnie też namawiała do zostania. Mówiła: "Patrz jak tu się dobrze żyje!" Ja jej odrzekłam: "Nie. Ja mam rodzinę, ja muszę wracać do kraju". Ona na mnie wybauszyła oczy, bo u nich nie do pomyslenia jest, żeby ktoś robił to co chce.

Wychodząc z obozu wydano mi paszport - dowód, w którym było zaszyfrowane, że ja jestem, byłam więźniem politycznym. Potem się o tym dowiedziałam. Każdy personalny, który brał go do ręki

to od razu wiedział, że ma przed sobą politycznego. W moim dowodzie też to było zapisane i nigdzie mnie nie chcieli przyjąć do pracy. Do tego Lipowca jechałam chyba trzy dni normalnym pociągiem, bo to jednak kawał drogi. W tamtą stronę jechaliśmy dwa tygodnie. Jechałam przez Moskwę. Zatrzymałam się też w Moskwie, bo akurat miałam przesiadkę. Ciekawa byłam jak wygląda Moskwa. Nie wiem czy było widać jak byłam ubrana czy też moja walizeczka drewniana... Już nie pamiętam skąd miałam ten kuferek, który sama sobie obszyłam pokrowcem. Taka nieduża walizeczka. Miałam tam parę swoich rzeczy, a na sobie kożuszek. Jak tylko wysiadłam w Moskwie to od razu zbliżył się do mnie milicjant, żeby sprawdzić moje dokumenty. Będąc w Moskwie przez parę godzin to chyba mi ze 6 razy sprawdzali moje dokumenty. Widocznie mój wygląd zdradzał, że jestem prosto z lagru. Każdy milicjant mówił mi, że nie wolno mi się zatrzymywać w Moskwie. Tłumaczyłam, że mam za dwie godziny czasu ^{na} pociąg dalej. Radzono mi żebym posiedziała na dworcu, ale ja poszłam sobie na miasto, pojechałam tramwajem. Obejrzałam sobie jak ta Moskwa wygląda. Byłam parę godzin w Moskwie, a zatrzymywali mnie bez przerwy. sześć razy w ciągu 2 godzin sprawdzali mi dokumenty. Potem pojechałam dalej i dojechałam pociągiem do Kijowa. Tam miałam przesiadkę i parę godzin musiałam czekać na następny pociąg. Pospacerowałam po Kijowie i tam też mi sprawdzali dokumenty. Widocznie wyglądałam niezbyt... Bardzo mi się Kijów podobał. Piękne miasto, dużo zieleni. Dalej pojechałam koleją do Lipowca, nie chyba do Winnicy, a z Winnicy już musiałam dalej jechać własnym przemyślem. Tam nie było dojazdu, tylko można się było dostać okazją. Akurat przewozili w bańkach mleko i ja na tym mleku, odbijając sobie siedzenie, dojechałam do tej wsi Lipowiec:

Idę przez tę wieś i wypytuję się o adres, który posiadam.

Nareszcie dotarłam. Ci rodzice byli bardzo zdumieni moim przyby-

ciem. Podałam im list od syna. On napisał tam, żeby mnie zatrzymali i pomogli znaleźć pracę. Muszę powiedzieć, że oni mnie przyjęli bardzo gościnnie. To byli bardzo biedni ludzie. On był szewcem, ale nie szył nowych butów tylko łatał stare jakieś łapcie.

Byłam tam prawie 2 miesiące, to znaczy cały grudzień i gdzieś tak do połowy stycznia. Przez cały ten czas poszukiwałam pracy, ale nigdzie nie mogłam dostać. Było to niewielkie miasteczko. Miało kino, była jakaś rozwalona cerkiew, do której nie uczęszczano, wszystkie urzędy i parę sklepów. Takie bardzo małe miasteczko. Chodziłam więc po tych urzędach w poszukiwaniu pracy. Byłam nawet w szpitalu. Chciałam pracę nawet nie umysłową, ^{lecz} fizyczną, ale wszędzie mi odmawiano. Wystarczyło tylko, że personalny obejrzał sobie mój dowód, gdzie było wypisane, że byłam więźniem politycznym, a to już wystarczyło, żeby mnie nie przyjmując do żadnej pracy - nawet do noszenia kartofli czy bycia salową w szpitalu..

W trakcie tych poszukiwań spotkałam się z Polakami tam mieszkającymi. Ci Polacy nie przyznawali się do tego, że są Polakami. Nie znali zresztą języka polskiego tylko ukraiński. Gdzieś tak w końcu grudnia, bo zwolniono mnie 4 grudnia 50 roku, gdy dowiadywałam się o pracę podeszła do mnie jakaś kobieta, gdy nie było nikogo w korytarzu, i zapytała czy ja rzeczywiście jestem Polką. Odpowiedziałam, że oczywiście jestem Polką i że przyjechałam tutaj, że szukam pracy i że wszędzie mi odmawiają. Ona zaprosiła mnie do siebie. Mieszkała w małym domku i miała małe gospodarstwo. Kiedyś zapewne była wielką gospodynią, miała większy folwark czy jakąś majątność, ale w tej chwili miała jedynie mieszkanie składające się z pokoju z kuchnią. Miała jakieś grządki przed tym domkiem, a więc sadziła trochę wyrzyw. To była starsza osoba. Powiedziała mi, że też jest Polką, ale się do tego nie przyznaje. Zobowiązała się, że zapozna mnie z Polakami, którzy

mieszkają w tej miejscowości. Dotrzymała słowa. Bardzo gościnnie mnie przyjęła. Dała mi sporo żywności. Podzieliła się ze mną tym co sama miała. Dała mi kartofle, kawałek słoniny i jakieś jeszcze inne wiktuały. Wiedziałam, że ludzie u których mieszkam są bardzo biedni i przez cały czas miałam wyrzuty sumienia, że ich objadam. A ja przyjechałam z takim wspaniałym apetytem, bo byłam wygłodzona i po prostu tych ludzi objadam. Przyniosłam te wszystkie wiktuały do domu. Wyłożyłam je na stół i zrobiłam obiad. Oni byli do mnie cały czas bardzo przyjaźnie nastawieni. Pani ta, o której była wyżej mowa, poznała mnie z innymi Polakami. Były to wspaniałe spotkania, ale były to spotkania przy zamkniętych drzwiach. Oni się nie przyznawali do tego, że są Polakami. Bali się po prostu Ukraińców. Straszne rzeczy tam się działy od razu po wojnie. Zabijano Polaków. Jeżeli mąż miał za żonę Polkę to musiał ją wyrzucić z domu. Oni jakoś przez te lata przeżyli i po prostu bali się. Rozmawiali ze mną przy zasłoniętych oknach i prosili żebym opowiadała o Polsce.

Sporo ich się zbierało, chyba z 15 osób. Dzieci tylko nie było bo się trochę obawiali, że dzieci zaczną opowiadać sąsiadom co się dzieje i rozniesie się po całej wsi, że byłam więźniem politycznym, a ja się do tego nie przyznawałam do tego, tylko tym Polakom powiedziałam prawdę o sobie. Oni nie znali języka polskiego, ale niektórzy umieli czytać po polsku. Zostawiłam im książeczkę do nabożeństwa, którą miałam przy sobie. Byli bardzo z tego powodu szczęśliwi. To byli katolicy zresztą, tylko tam nie było katolickiego kościoła, nie było księdza, a więc nie byli to ludzie praktykujący. Nie mieli możliwości.

Jeden z tych Polaków był dyrektorem szpitala w tej miejscowości. Odwiedziłam tego Polaka, bo wskazano mi jego adres i powiedziano, że może on mnie przyjmie do pracy. Niestety on mi odmówił.

Powiedział, że się boi przyjąć mnie do pracy, bo będą na niego zaraz podejrzliwie patrzeć. Owszem dał mi pieniądze, dał dużo różnej żywności i prosił mnie żebym jak najszybciej wyjechała stamtąd, bo może się zrobić jakieś zamieszanie i oni poniosą z tego powodu jakieś konsekwencje, że się ze mną kontaktują. Wszyscy oni mi radzili zgodnie, żebym wyjechała.

Nie miałam zamiaru zostać tam na stałe. Myślałam, że może mi się uda przejść przez granicę i przyjechać do moich rodziców, czyli do Łodzi. Stwierdziłam, że to są dziecinne mrzonki, że nie możliwe jest przedostać się nielegalnie przez granicę. Zrezygnowałam więc z tego. Będąc w Lipowcu nawiązałam kontakt z koleżanką z Wilna, a właściwie z gospodarzami, u których mieszkała moja matka przed wyjazdem. Skontaktowałam się z nimi listownie i postanowiłam tam jechać, mimo że obowiązywał zakaz poruszania się. Nie można było z województwa do województwa pojechać bez zezwolenia. Szczególnie mnie to dotyczyło. Postanowiłam jednak wyjechać, bo widziałam, że nie mam tu żadnych szans. Nie widziałam dla siebie żadnej przyszłości w tej miejscowości. Żydzi u których mieszkałam zameldowali mnie, a więc także mogli mnie wymeldować. W dowodzie miałam więc zameldowanie i wymeldowanie. Na milicji powiedziałam, bo musiałam się wytłumaczyć dlaczego się wymeldowuję, że niestety nie mogę tutaj dostać pracy więc muszę jechać do innego, większego miasta. Tym większym miastem miała być Winnica. Oni bardzo chętnie się zgodzili na mój wyjazd, żeby mnie po prostu nie mieć w tej miejscowości. Nie chcieli mieć ze mną kłopotu i nie chcieli żebym robiła w tej miejscowości zamieszanie, chociaż ja nic złego nie robiłam, a tylko szukałam pracy. Wymeldowałam się więc, podziękowałam bardzo za pomoc tym ludziom. Starłam się im odwdziaczyć. Wszystko co otrzymałam im zostawiłam. Sobie zostawiłam tylko pieniądze na drogę.

Nie można się było swobodnie poruszać, ponieważ kontrolowano gdzie ktoś jedzie nie wiedziałam co zrobić. Myślałam, że pójdę do kasy i wykupię bilet, ale to tylko nam się tak wydaje. Tam było trochę inaczej. Sprzedawano tylko wyznaczoną ilość biletów, tzn. tyle ile było miejsc siedzących. Siedział tam taki młody żołnierz - porucznik czy lejtnant. Przysiadł się do mnie i ja mówię do niego, a byłam wtedy przecież młodą dziewczyną, że taka duża kolejka i martwię się czy dostanę bilet. On na to: "Nie ma sprawy, kupię pani bilet". Właściwie to nie powiedział do mnie "pani", bo tam się tak nie mówiło, tylko "Wam". On mi kupił ten bilet i ja byłam mu za to strasznie wdzięczna. Siedział ze mną i rozmawiał. To też był młody chłopak. Miał 20 parę lat. Trochę się zdziwił, że ja tak daleko jadę - do Wilna. Wsiadałam wreszcie do pociągu, nie było dużo ludzi w nim. Bałam się trochę, że będą sprawdzać dokumenty i jak zobaczą, że wykupiłam bilet do Wilna to mogą mnie zatrzymać, skierować na milicję. Na szczęście przyszedł tylko konduktor, sprawdził mi bilet, zobaczył że jadę do Wilna. Widocznie mam pozwolenie - tak zapewne pomyślał konduktor, a ja nie miałam przecież żadnego pozwolenia. Jechałam tak na ryzyko. Przez cały czas bardzo się modliłam żebym dojechała do Wilna, żeby mnie nikt Broń Boże nie dostrzegł.

Dojechałam szczęśliwie do Wilna i zatrzymałam się u tych gospodarzy, gdzie poprzednio mieszkała moja matka. To było na Zwierzycu. Oni mnie bardzo serdecznie przywitani i zatrzymali. Wówczas obowiązywało takie prawo, że w ciągu najbliższego czasu ten kto przybywał do kogoś to musiał być natychmiast zameldowany. Jeśli ktoś nawet przez 24 godziny przebywał niezameldowany to ten który udzielał gościny mógł ponieść dużą karę. Groziły za to różne konsekwencje. Ja nie mogłam się tam zameldować, bo nie wolno mi było mieszkać w mieście wojewódzkim tylko conajmniej 100 kilometrów od niego. Tak mi zaznaczono to kiedy wyjeżdżałam

z lagru. W zasadzie więc zupełnie bezprawnie przebywałam w mieście. Zatrzymano mnie tam przez dwa tygodnie. Bardzo przyjaźnie mnie tam przyjmowali. Co prawda większość mojej rodziny wyjechała, właściwie cała moja rodzina wyjechała. Nie miałam więc tam właściwie nikogo. To znaczy owszem w tym samym domu przebywał brat mojej matki, który w tym czasie był ministrem na Litwie. Jak on się dowiedział, że ja przebywam u tej gospodyni, bo on mieszkał w tym samym domu, to się bardzo przestraszył. Moja matka wyjeżdżając powiedziała mu, że ja jestem w lagrze i prawdopodobnie tutaj wrócę. On się tego bardzo przestraszył i mimo że ja chciałam się z nim niejednokrotnie spotkać i porozmawiać, bo w zasadzie przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w jednym domu, to wciąż nie było okazji. To znaczy on się tak starał, żeby nie było tej okazji. Kiedyś jednak poprosił mnie żebyśmy się spotkali za miastem gdzieś w lesie czy na jakimś moście - już dokładnie nie pamiętam. Spotkaliśmy się więc. On się ze mną bardzo serdecznie przywitał, pytał czy mi potrzebna jest jakaś pomoc? Powiedział, że on nie-stety nie może się mną zająć, nawet nie może się przyznać, że ja jestem jego krewną, bo wtedy groziłoby mu zwolnienie z pracy a nawet wywózka na Wschód. Bał się o swoją rodzinę. Ja oczywiście to rozumiałam. Po takich przejściach ja doskonale rozumiałam tych ludzi. Nie chciałam od niego żadnej pomocy. On chciał mi dać jakieś pieniądze, ale ja nie przyjąłam ich od niego. Pożegnaliśmy się i na tym skończyło się nasze spotkanie.

Raz do roku otrzymywałam paczki, które mi przysyłała Stasia WASAŁYNGOWICZ ze wsi GURELE niedaleko Turgiel. Postanowiłam do niej pojechać po tych dwóch tygodniach. To było jakieś 50 km od Wilna, więc uważałam że tam to już mogę być. Nie znałam tej Stasi. To była dziewczyna ze wsi, pracująca w konspiracji i ona otrzymała polecenie, żeby mi pomagać chociaż w ten sposób przez

posyłanie paczek. Pojechałam więc i byłam tam u nich chyba z miesiąc, ale takie siedzenie u kogoś na darmowym chlebie i jakaś taka nieokreślona pozycja w tym domu bardzo mnie drażniła i niepokoiła. Znowu postanowiłam szukać pracy. Zaczęłam korespondować z rodzicami, którzy starali się o wysłanie mi zapotrzebowania - znaczy się zaproszenia do Folski, przez ambasadę. Po to żeby mogli mnie przysłać zaproszenie to ja musiałam być zameldowana i musiałam pracować. Musiałam też złożyć wszystkie dokumenty, których nie miałam. Na przykład nie miałam metryki i nikt nie chciał mi jej wydać, żaden urząd. Nie wiem dlaczego. Po prostu nie chcieli. Potem musiałam wszystkie te sprawy jakoś pozakłaniać, nawet w sposób trochę nielegalny. W zaproszeniu nie było określone czy na stałe jadę. Po prostu mnie zapraszają z tej racji, że ja jestem ich córką. Zapraszają mnie na tych warunkach że ja mogę w każdej chwili wyjechać jeżeli mi na przykład nie będzie odpowiadało, będzie mi źle w Polsce. Oni zapewniają mi utrzymanie i warunki mieszkalne. Takie były warunki. Było też szereg innych, ale nie były takie ważne.

Znowu zaczęłam szukać pracy i przypomniałam sobie, że w obozie poznałam Litwinkę - wspominałam o niej, Marite BORYSAJTE. Dowiedziałam się, że ona pracuje, że ją przyjęto do pracy w BIAŁEJ WADZE. To było jakieś 50 czy 70 km od Wilna. Wyruszyłam do niej. Ona mnie oczywiście poznała, bardzo serdecznie przywitała i obiecała załatwić pracę. Ją przyjęto warunkowo. Ona miała chyba 5 lat wyroku, wróciła więc wcześniej o rok ode mnie. Rozpoczęła pracę na budowie. Poznano się, że jest ona dziewczyną rzetelną, uczciwą, dobrze pracuje i dzięki jej protekcji przyjęto mnie do pracy.

Zostałam przyjęta jako pracownik fizyczny, ale pracowałam jako umysłowy, bo umiałam czytać i pisać po rosyjsku bardzo biegle. Znałam też trochę litewski, bo w obozie przebywali przede

wszystkim Rosjanie i Litwini i tam nauczyłam się trochę mówić po litewsku. Tam w okolicach były olbrzymie bagna i te bagna były osuszane. Robiono meliorację, przekopywano więc rowy. Trzebiono bardzo piękne lasy. Drzewo prawdopodobnie gdzieś wywożono, a torf osuszano. Ten osuszony torf był przeznaczony na opał. Ja tam pracowałam jako taka tabelowca. Robotnicy byli w grupach - brygadach rozrzuśeni po całym terenie w znacznych odległościach nieraz po kilkanaście kilometrów i ja musiałam do nich dotrzeć. Przemierzałam dziennie nieraz ponad 20 km. Chodziłam po tych błotach i niezbyt przyjemne to było. Trzeba było umiejętnie chodzić, bo można było wpaść i w błocie utonąć. To były straszne bagna - takie wciągające. Kiedyś wracał pijany prawdopodobnie robotnik i utonął w tym błocie. To trzęsawisko go wciągnęło.

Pracowałam tam dwa lata. To znaczy na tych bagnach pracowałam chyba rok, a potem przeszłam na budowę. Budowało się osiedle dla tych robotników i ja pracowałam na budowie jako majster budowlany, ponieważ jak już mówiłam, w lagrze zdobyłam różne zawody budowlane i znałam się trochę na malarce, murarce, tynkarce. W tym czasie rodzice moi przysłali mi to zapotrzebowanie. Jak tylko zaczęłam pracować i zostałam zameldowana od razu wysłałam im list, że mogą się starać o to, żebym jak najszybciej do nich przyjechała. Przysłali mi te dokumenty i dalej już sama musiałam załatwiać w Wilnie, bo tam był urząd, który to załatwiał - oczywiście NKGB. Metrykę załatwiłam "na lewo". Ktoś kto pracował w Urzędzie Miasta wypisał mi metrykę, ale oczywiście wypisał ją z błędem z czym miałam potem straszny kłopot, bo musiałam to wszystko odwracać. W każdym razie metryka została przyjęta i wszystkie inne dokumenty też. Najważniejszy był fakt, że byłam zameldowana, miałam zaświadczenie z pracy, tą metrykę i dowód. Potem czekałam długo na odpowiedź, bo prawie dwa lata. W Białej Wadze zaczęłam pracować w marcu, po paru mie-

siącach dostałam to zaproszenie, a na odpowiedź musiałam czekać prawie dwa lata, w każdym razie więcej niż rok na pewno.

W międzyczasie było takie zdarzenie. To była duża budowa i na miejscu przebywał milicjant, który miał czuwać nad tym wszystkim i on miał do mnie straszne pretensje... Nagabywał mnie. Nie wiem jakie on miał w stosunku do mnie intencje, ale na pewno nieuczciwe. Było nawet tak, że wezwał mnie do siebie, zamknął pokój i napastował mnie. W każdym bądź razie to był tego rodzaju typ. Staralam się go omijać, ale mimo to on mi stale groził. Cały czas mi przypominał, że byłam więźniem politycznym i że mnie tu nie powinno być. Stale mnie prześladował. Przypuszczam też, że w tym wszystkim on palce umoczył. Szykował się transport. W tym czasie, w roku 52 wywożono na Wschód, zresztą przez cały okres, chyba od 39 ciągle wywożono ludzi na Wschód. Wystarczyło, że ktoś był załośniejszy, albo miał jakąś szkołę. Wywożono ludzi, którzy mieli posłuch u innych, w każdym razie takich przyzwoitych ludzi. Na wiosnę 52 też się szykował taki transport. Wła się strasznie bała, że przyjdą w nocy, zabiorą i... Ja właściwie nie musiałam się bać, tylko ten milicjant stale mi groził, bo nie chciałam się zgodzić na pewne rzeczy. Tego dnia kiedy miał odejść ten transport przyszli do mnie młodzi ludzie z budowy. Ze wszystkimi dobrze żyłam, lubiłam młodzież, bo i sama byłam młoda. Miałam chyba 28 lat. Oni też mnie dość lubili. Przyszli do mnie wieczorem. To były takie dwie nawet bardzo zaangażowane politycznie dziewczyny. Przyszły i powiedziały, że ja jestem na liście do wywozu. Oczywiście ja się bardzo tym przeraziłam, że one wiedzą, że ja jestem na tej liście, że tej nocy mają po mnie przyjść, zabrać mnie i wywieźć. Dokąd to nie było nigdy wiadomo. Zaczęłam strasznie płakać, bo się przejęłam i zdenerwowałam tym wszystkim. Myślałam, że mam już wszystko za sobą... ale widocznie nie mia-

łam wszystkiego poza sobą. Postanowiłam zniszczyć wszystkie dokumenty jakie miałam. Zabrałam tylko zdjęcia które miałam i jakieś drobiazgi. Zostawiłam wszystkie rzeczy. Wzięłam tylko jedną zmianę bielizny i rzeczy osobiste, a pościel i inne różne rzeczy zostawiłam.

Uciekłam przez okno. To było na parterze. Robotnicy - to byli znowu młodzi chłopcy zaprowadzili mnie do swego domu. To było gdzieś na trzeciej wsi. Nikt mnie widział dokąd poszłam, bo ja w nocy uciekłam. To nawet nie była noc tylko wieczór, ale wszyscy już spali. Dlatego uciekłam przez okno, żeby nikt nie widział bo takie domy, w których mieszkali robotnicy i ja też tam miałam swój pokój, były pilnowane przez portierów. Zrobiłam dobrze, że uciekłam. Tacy dwaj robotnicy zaprowadzili mnie do swojej rodziny. Mieszkałam tam przez dwa tygodnie. Okoliczne dziewczyny nawet zaczęły mi robić sceny, bo jeden z chłopaków powiedział, że jestem jego narzeczoną. Byłam w głupiej sytuacji, ale jakoś przesiadziałam te dwa tygodnie. Ta rodzina była dla mnie bardzo miła. Oni z-resztą wiedzieli o co chodzi. Po dwóch tygodniach mogłam już wrócić. Tam jest tak, że jak transport odejdzie to można wrócić, wtedy człowiek czuje się bezpieczny.

Wróciłam z powrotem na tę budowę i poszłam do personalnego, bo dobrze z nim żyłam. Był to co prawda człowiek partyjny, ale "nigramotny". Ja za niego pisałam podania, robiłam zestawienia. On mnie bardzo potrzebował. Wtedy już oczywiście byłam skreślona co znaczyło, że już tam nie pracuję. Na takiej desce było napisane moje nazwisko, że zostałam skreślona, bo przez dwa tygodnie nie stawiałam się do pracy. Pogadałam z tym personalnym i wyjaśniłam mu, że się bałam, że mnie znowu wywiozą. Pracowałam tam jeszcze przez parę miesięcy. Pracowałam chyba do lipca. Te milicjant chyba wyjechał i nikt już mnie nie napastował i nie straszysz

szył.

Tam pracowałam na tej budowie w charakterze majstra, a także magazyniera. Wydawałam ludziom odzież ochronną i to wszystko było na moim koncie. Ja właściwie pracowałam na dwóch etatach. Na moje miejsce musieliby przyjąć dwie osoby. Dyrektor był Żydem i bardzo cenił moją pracę. Kiedy poszłam do niego, żeby powiedzieć że proszę o zwolnienie, bo wyjeżdżam do Polski, to on mi powiedział, że muszę rozliczyć się z tej odzieży, która jest na moim koncie. Mówię mu, że ja mam listę osób, które mają tą odzież, że są tam podpisy tych ludzi. On twardo się upierał, że muszę za to zapłacić. Wyliczył mi ileś tam rubli - straszną sumę! Strasznie się z nim kłóciłam i w końcu wygrałam. Poszli do niego ci robotnicy i powiedzieli, że oni to wszystko mają i że on nie powinien mnie zatrzymywać. W każdym razie podpisał moje zwolnienie i wyjechałam stamtąd po tym wielkim sporze. Przyjechałam do Wilna, żeby odebrać dokumenty. Zawiadomiono mnie o tym listownie z NKGB w Wilnie. Dostałam pozwolenie na wyjazd. Byłam tam jeszcze przez kilka dni u tych gospodarzy mojej matki. Potem wyjechałam. Przyjechałam do kraju.

Polską granicę przekroczyłam 27 lipca 1952 roku. Przyjechałam do Łodzi oczywiście. Dali mi 20 zł i darmowy bilet, żebym dojechała do rodziców. Darmowy bilet wystarczał, żeby dojechać do Łodzi, ale potem musiałam wynająć dorożkę, bo miałam trochę rzeczy, a przyjechałam nocą i za tą dorożkę zapłaciłam właśnie 20 zł. No i przyjechałam do Łodzi. Było wielkie szczęście. Oczywiście rodzice bardzo się cieszyli, że wreszcie jestem. Po paru dniach musiałam się obowiązkowo zgłosić na milicji. Tam mnie przypytawali skąd jestem, czy jestem karana czy nie i takie różne zeznania. Ponieważ przyjechałam do Polski i miałam obywatelstwo w dalszym ciągu obywatelstwo radzieckie, a więc musiałam raz do roku jechać do ambasady i tam się meldować, że jestem. Nawet mnie pytano tam

czy mnie dobrze traktują w Polsce, czy nie mam zamiaru wracać. Oczywiście zawsze mówiłam, że nie. Staralam się o przywrócenie mi polskiego obywatelstwa. Uzyskałam je dopiero w 63 roku, a to dzięki jednemu mądrym prawnikowi, który napisał a nawet postraszył, że jak to tak może być, że rodzice mają obywatelstwo polskie a ja nie, że ja nie chcę tego obywatelstwa, że zostałam do niego przymuszona i w rezultacie wtrzymałam polskie obywatelstwo. W międzyczasie, bo w 55 roku wyszłam za mąż, a w 56 urodziłam syna i ten syn musiał być wpisany do mego dowodu, mego paszportu, jako obywatel radziecki. To było oburzające. Jak wychodziłam za mąż to musiałam pojechać z mężem do ambasady i on musiał napisać podanie do ambasady, żeby pozwolono mu wziąć ślub z obywatelką radziecką. To dla mnie było poniżające i oburzające. Mój syn przez 6 lat był obywatelem radzieckim.

Pyt.: Czy do tej pory odczuwa Pani jakieś skutki związane z pobytem w obozie?

Odp.: Tak. Mam swego rodzaju manię prześladowczą jeśli to tak można nazwać. Na przykład jeżeli idę po pustej ulicy i słyszę, że ktoś idzie za mną to natychmiast przechodzę na drugą stronę. Nie mogę psychicznie wytrzymać, że ktoś idzie za mną. Nie odczuwam tego na ulicy, gdzie jest dużo ludzi tylko na pustej ulicy, gdzie chodzi niewiele osób. To jest straszne. Odczuwam wtedy nie tyle lęk co straszny niepokój i nie mogę go psychicznie wytrzymać. Od razu mi się przypomina to jak byłam prowadzona pod strażą i psami.. Byłam wtedy młodym człowiekiem i właściwie to to wszystko co przeżyłam nie odbiło się tak głęboko na mojej psychice. Wyniosłam też pozytywne rzeczy z tego pobytu. Stałam się innym człowiekiem dzięki tym przeżyciom. Teraz zupełnie inaczej patrzę na ludzi, na rzeczywistość, która mnie otacza. Nie przywiązuję się do rzeczy. Absolutnie. Dawniej bardzo lubiłam się stroić, ładnie ubrać. W tej chwili to wysta-

rczy mi, że jestem ubrana czysto i nieobdarta. Tak samo nie zależy mi na posiadaniu rzeczy materialnych. Po prostu nie przywiązuję do tego wagi. Przez te lata przyzwyczałam się do tego, że miałam tylko to co na sobie. Przez te wszystkie lata niełatwo było przebrnąć.

Text autoryzowany J.K.,